Rocznik XV Nr 3 194



GŁOS KARMELU

W hołdzie.

W pamiętnym i radosnym dniu, w którym dostojny Arcypasterz Krakowski, nieugięty duchowy przywódca Narodu Polskiego w czasie długoletniej okupacji niemieckiej

Książę Metropolita ADAM STEFAN SAPIEHA

otrzymał z rąk Jego Świętobliwości Ojca św. Piusa XII purpurę kardynalską — do stóp Eminencji, z wyrazami szczerego hołdu oraz najserdeczniejszych życzeń, spieszy cała Polska katolicka, dumna ze swego najlepszego Syna i Obrońcy praw Kościoła i Narodu w czasach przedwojennych, a w szczególności w okresie ciężkiej niewoli i męczeństwa, jakie z niezbadanych wyroków Opatrzności Bożej przeżywać musiała ostatnio.

Również i Karmel Polski czuje się szczęśliwym, że może wielkiemu Księciu Kościoła złożyć wyrazy czci i synowskiego oddania, a przy tym wielkiej swej wdzięczności za prawdziwie ojcowską pomoc i opiekę, okazywaną nieraz w wyjątkowo ciężkich sytuacjach, wytworzonych przez bezprawia okrutnych hitlerowskich najeźdźców. Z serc naszych płyną dziś gorące życzenia, by nowy Polski Purpurat obfitował w łaski i błogosławieństwa Boże, by w zdrowiu i pokoju ducha jak najdłuższe lata przewodził swą powagą i potęgą moralną polskiemu społeczeństwu i jego duchowym sternikom.

Wydawnictwo „Głosu Karmelu", wznowione za życzliwą zachętą Księcia Kardynała, spełniając ten miły obowiązek wyrażenia uczuć, jakie ożywiają dziś serca czytelników i całej rodziny karmelitańskiej, przyrzeka, że w myśl Jego rad i wskazówek, szerzyć będzie usilnie na swoich łamach, znajomość dróg i zasad życia wewnętrznego, tak bardzo potrzebną w dzisiejszych powojennych czasach i warunkach dla utrwalenia, pogłębienia i rozwoju Królestwa Bożego w naszej odrodzonej Ojczyźnie.

REDAKCJA.



Karm. Bos

Przedziwny Święty

Salve, Sponse Matris Dei,
Salve, Pater Jesu mei.
Joseph admirabilis,
Joseph ter amabilis!

W chwalebnym orszaku Świętych zajmuje św. Józef miejsce pierwsze po Matce Bożej. Z tym miłym Świętym pobożność zżyła się łatwo, lubi wyobrażać go sobie czuwającego nad żłóbkiem, lub piastującego na ręku Dziecię Jezus. Nie można sobie nawet przedstawić stajenki betlejemskiej bez św. Józefa!

Jeślibyśmy jednak, wyszedłszy poza te ogólne, tradycyjne rysy, spróbowali zrozumieć głębiej osobowość Świętego, odtworzyć sobie wewnętrzne dzieje tej postaci, napotykamy na trudności. Św. Józef bowiem — chociaż z jednej strony tak bardzo znany, — zarazem jednak, w pewnym sensie, znany jest bardzo mało. I trzeba powiedzieć, że jak gdyby trochę winy ponosi sam kochany ten Święty: bo przecież sam w życiu swoim tak dobrze się umiał ukryć, że Ewangeliści nie zapisali ani jednego słowa, któreby wypowiedział. Dobrowolnie otoczył się zapomnieniem i ciszą. Stanął w cieniu, tak, jak go przedstawił Fra Angelico w scenie Zwiastowania: na pierwszym planie Najświętsza Panna przyjmuje poselstwo anioła, zaś dalej, w półmroku widnieje postać św. Józefa.

Mimo tej trudności, będzie można pokusić się o zrozumienie tajemnicy św. Patriarchy, w świetle Ewangelii. Bo chociaż nie zostawił słów po sobie, ale świadczyły o nim czyny i tych Ewangeliści nie mogli już pominąć milczeniem.

Każdy święty — to człowiek ukryty. Każdy strzegł tajemnicy swojej — tajemnicy między nim a Bogiem. Każdemu przed oczyma duszy jawiła się ta największa, jedyna rzeczywistość: Bóg. Stwórca i stworzenie stawali naprzeciw siebie, nawiązywała się jedyna w swoim rodzaju gra: Bóg pociągał człowieka ku sobie, człowiek dążył ku Niemu. Całe życie było drogą ku jedynemu Celowi, całe życie układało się jakby wielki dialog między duszą a Bogiem.

dialog rozbrzmiewający rozgłośnie we wnętrzu duszy, niedostrzegalny od zewnątrz. Na każdy wysiłek duszy, Bóg odpowiadał — nowymi łaskami; rozmowa nie ustawała. Jeśli przeto chcemy dosłyszeć ten wewnętrzny rytm i harmonię, wedle których wzrastało duchowe życie Chrystusowego Opiekuna, musimy znaleźć jakiś klucz do tajemnicy św. Józefa.

Wielkie posłannictwo.

W tym tajemnym dialogu, jaki każda dusza z Bogiem prowadzi, głównego tematu dostarczają żądania Boże względem duszy, miejsce szczególne, której jej wyznaczył w zespole wybranych swoich, posłannictwo, które ona ma spełnić, czyli powołanie. Św. Józef zaś miał stanąć najbliżej, po Matce Bożej, tajemnicy Wcielenia, stać się najwierniejszym współpracownikiem we wielkim planie zbawienia ludzkości, jako głowa Najśw. Rodziny. Miał żyć nie tylko w niezrównanej bliskości ze Zbawicielem, ale i wykonywać nad Nim władzę opiekuna i przybranego ojca. Ojciec Przedwieczny miał uczynić św. Józefa jakby „swoim cieniem na ziemi“, podzielić się z nim poniekąd prawami swoimi nad „Synem Człowieczym“. Przeznaczony został św. Józef na Opiekuna i żywiciela dla „Chrystusa całkowitego“, to jest Chrystusa złączonego z ludzkością całą, z Kościołem. To też ziemskie życie Świętego zamykało w sobie tylko jedną fazę jego posłannictwa. Zadanie swoje miał spełniać poprzez wieki, roztaczając straż nad „Chrystusem całkowitym“, Chrystusem, który wzrasta i rozwija się w nas.

Do spełnienia takiej misji musiał być Święty odpowiednio uzdolniony. Na czymże to uzdolnienie polegało?

Przedziwna celowość, panująca we wszechświecie, jako dzieło Bożej mądrości i opatrzności, „rozrządzającej wszystko mocno i wdzięcznie“, sprawia, że ilekroć Bóg wyznacza komuś szczególne zadanie do spełnienia, wyposaża go też odpowiednio w potrzebne środki.

Jeśli ta zasada odnosi się do życia natury, to w wyższym jeszcze stopniu urzeczywistnia się w dziedzinie życia nadprzyrodzonego. Czytając biografie świętych, niejednokrotnie spostrzegamy wyraźnie, jak Bóg przygotowywał sługom swoim środki i drogi do wypełnienia ich posłannictwa, jak ich wyposażał w łaski i dary ku temu potrzebne. „Sprawdziło się to w sposób najwyższy“, — mówi św. Bernardyn Sieneński — „na św. Józefie, domniemanym Ojcu Pana Naszego Jezusa Chrystusa i prawdziwym oblubieńcu Królowej świata i Pani aniołów, którego Ojciec Przedwieczny wybrał na wiernego żywiciela i strażnika swoich największych skarbów, to jest Syna swego i swej Oblubienicy. Ten zaś obowiązek wypełnił Święty jak najdoskonalej“.

Jakimże więc bogactwem łask, darów i cnót wyposażył Bóg Świętego Opiekuna Chrystusowego, — tego zaledwo domyślać się możemy. „Wierzę przeto — (słowa św. Bernardyna Sieneńskiego) —

że ten mąż był najczystszy w dziewictwie, najgłębszy w pokorze, najgorętszy w umiłowaniu i ukochaniu Boga, najwyżej wyniesiony w kontemplacji".

Jeśli spojrzymy na życie Świętego pod kątem jego powołania, to zauważymy, że wszystkie nadprzyrodzone dary i łaski, które otrzymał, kierowały go ku spełnianiu jego szczególnej misji. Życie wewnętrzne Świętego — to musiał być harmonijny rozwój całego człowieka, wstępowanie z cnoty w cnotę.

Można by wyróżnić dwa główne okresy w ziemskim życiu św. Józefa: pierwszy przygotowuje go do dzieła, które Bóg zamierzył, drugi zawiera wypełnienie misji. Okres trzeci — to już trwająca przez wieki opieka Świętego nad Kościołem.

Boże przygotowania: Św. Józef — syn Dawidów.

Ewangelia daje św. Józefowi dwa określenia: syn Dawidów, mąż sprawiedliwy.

Nazwa „syn Dawidów" zawiera zarówno aluzję do przeszłości i pochodzenia św. Józefa, jak i do nadziei mesjańskich, złączonych z rodem króla - proroka. Święty, jako potomek królewskiego rodu Dawida, otrzymał z pewnością bogate dary naturalne, tworzące odpowiednie podłoże dla obfitej łaski, którą miał być obdarowany: szlachetność duszy, bystry rozum, potężną wolę. Na tych właściwościach rozbudowywało się życie wewnętrzne.

Fundament stanowiła wiara, dziedzictwo przodków, wielkich patriarchów. Miał wokół siebie „wielki obłok świadków", którzy przez całe życie wyglądali Mesjasza i przekazywali potomkom swoje tęsknoty i oczekiwania. Cała przepiękna litania, w której św. Paweł wychwala wiarę świętych Starego Testamentu, odnosi się do św. Józefa w sposób szczególny. (List do Żydów, r. XI.). Ta potężna ich wiara skupiła się niejako i skoncentrowała w duszy św. Józefa.

Wiara Świętego była żywa, rozumna, miłująca. Dzięki niej, przylgnął wolą swoją do Objawienia Bożego, danego Izraelowi. Bóg przemówił do wybranego narodu i obiecał mu wybawiciela — oto przedmiot rozważań, tęsknot ,pragnień i modlitw św. Józefa. Wiara zaś znajdowała praktyczny swój wyraz w pełnieniu Bożego Zakonu. „W zakonie Bożym wola jego i w zakonie jego będzie rozmyślać we dnie i w nocy" (Ps. 1.). Ewangelia, mówiąc o późniejszym życiu św. Józefa, zaznacza kilkakrotnie, że wykonał wszystko według nakazu prawa Pańskiego. To prawo Boże, choć jest tylko figurą i cieniem Nowego Przymierza, stanowi umiłowanie św. Patriarchy.

W tym wielkim dialogu, który toczy się między Bogiem a duszą poprzez cały bieg ludzkiego życia, Bóg daje słyszeć swój głos przez realne, konkretne wymagania przykazań Boskiego prawa. Dla św. Józefa jest zakon Pański głosem Przedwiecznej Prawdy, która

się dała poznać Izraelowi, głosem woli Bożej, którą należy wypełnić aż do ostatniej kreski.

W duszy swej zjednoczył i zespolił św. Patriarcha wszystkie błogosławieństwa Starego Przymierza, wszystko cokolwiek ono zawierało w sobie dobrego, wielkiego, szlachetnego. Był dalekim zarówno od ciasnego formalizmu faryzeuszów, jak i od saducejskiego zmaterializowania, dalekim od marzeń o doczesnej tylko potędze Izraela pod władzą nowego Mesjasza, dalekim od pragnień zemsty nad ciemięzcami.

Domyślać się tylko możemy, jakie uczucia religijne, uczucia czci i miłości przepełniały duszę Świętego, gdy odmawiał przepisane modlitwy i spełniał ceremonie Starego Prawa. Widział w nich obietnicę nieomylną i zapowiedź nowej epoki. Całą przeszłość i przyszłość ludu wybranego przeżywał w tych figurach.

I trzeba przypuszczać, że właśnie nasz Święty należał do liczby tych dusz najczystszych, które zarówno błaganiami swymi, jak i świętością życia, przyspieszyły przyjście Zbawiciela.

Już tutaj ukazuje się naszym oczom św. Józef, jako „Święty Przedziwny“, **Joseph admirabilis** — przedziwny wielkością ducha i pokorą życia. Szlachetne pochodzenie i wielkie wartości duchowe tworzyły wybitny kontrast ze skromnym zawodem, jaki sobie obrał. Ale Święty pozostawia daleko w tyle poza sobą ciasne poglądy swoich współczesnych i wprowadza już w czyn te błogosławieństwa ewangeliczne, które Chrystus później ogłosi.

Moment zwrotny w życiu Świętego.

Każdy moment ludzkiego życia ma swój sens i cenę, każdy wymaga od nas pełnienia Woli Bożej, a zarazem użycia potrzebnej do tego łaski. Napotyka się jednak w dziejach każdej duszy chwile szczególniej ważkie i cenne. To jakby momenty zwrotne w owym dialogu - rozmowie między Bogiem a duszą, momenty, od których dalszy rozwój dialogu najściślej zależy. Wtedy Bóg w sposób jakby bardziej bezpośredni wkracza w życie ludzkie: stawiając jakieś konkretne żądanie, objawiając wyraźniej swoją wolę, wzywając, abyśmy się Mu wyłącznie oddali, obdarzając nas szczególnym powołaniem.

Dla Najświętszej Panny taką chwilą było Zwiastowanie, dla św. Józefa objawienie przez anioła tajemnicy Wcielenia. „Józefie Synu Dawidów, nie bój się przyjąć Maryi, małżonki twojej. Albowiem, co się z niej urodziło, jest z Ducha świętego. A porodzi Syna i nazwiesz imię Jego Jezus, albowiem On zbawi lud swój od grzechów ich“. (Mat. I, 20—1).

Ta chwila w historii Świętego, to moment doniosły, zarówno dla osobistego życia, jak i dla całego ludu. Stawia ona św. Józefa w nowej roli, objawia mu powołanie. Najpierw anioł kładzie kres bolesnym wahaniom, przywracając Świętemu stanowisko małżonka Maryi, stanowisko, którego już był gotów się wyrzec. A zara-

zem, rozkazując mu, aby nadał imię dziecięciu, wprowadza św. Józefa w prawa opiekuna, przybranego ojca. Rozpoczyna Święty swoje posłannictwo jako głowa Najśw. Rodziny, opiekun Najśw. Dziewicy i przybrany ojciec przyszłego Mesjasza.

Fakt wcielenia Syna Bożego, to zarazem punkt kulminacyjny Starego Przymierza, którego św. Patriarcha był najszlachetniejszym synem. Nadchodzą wyzwoliny ludzkości, kolebką ich będzie właśnie dom jego, Józefa. On ma stanąć przy nadchodzącym Mesjaszu, w roli przybranego ojca. Niewola najstraszniejsza, najbardziej hańbiąca, zostanie usunięta. „Nazwiesz imię Jego Jezus, albowiem On zbawi lud swój od grzechów ich".

Odtąd św. Józef poświęci nowemu zadaniu całe życie. Wszystkie pragnienia i dążności jego skupią się w Chrystusie. Przez Niego i z Nim, i w Nim, życie Przedziwnego Świętego będzie całkowicie ukryte w Bogu.

Życie wewnętrzne: wiara.

Odkąd św. Józef bierze na siebie te obowiązki, staje przed nim cały szereg nowych zagadnień życiowych, które musi rozwiązywać. Nie tylko same wydarzenia od zewnątrz, ale zwłaszcza utrzymanie należytej postawy od wewnątrz, wymaga wielkiego duchowego wysiłku. Najpierw żąda od św. Patriarchy głębokiej i potężnej wiary. Bo oto wszystkie słowa i obietnice Boże, którymi aż dotąd karmił swoją duszę, poczynają się wypełniać, urzeczywistniać. Ale to urzeczywistnienie przychodzi w sposób tak różny od wszelkich ludzkich, choćby najszlachetniejszych nadziei, w sposób zda się sprzeczny z mądrością i rozsądkiem, w sposób całkiem nieoczekiwany! Uwierzyć trzeba, że to słabe niemowlę jest Bogiem wcielonym, że to pacholę, na którego wzrost patrzył, któremu dawał rozkazy i pouczenia dotyczące rzemiosła, że to pacholę dokona odkupienia świata i obejmie nad nim wieczne panowanie!

Wprawdzie niebo nie odmówiło Świętemu znaków z góry: ukazywał się anioł, dający polecenia, zaszło także kilka faktów niezwykłych przy kolebce Dziecięcia. I tu jednak, jakby dla wypróbowania wiary, anioł ukazuje się nie na jawie, ale we śnie, zaś zjawiska nadprzyrodzone nie powtórzą się — zaczyna się długa, pokorna cisza Nazaretu.

Chrystus nie był jeszcze objawił się światu przez cuda i naukę, opiekun Jego żył dopiero w brzasku, w przedświcie nowej epoki. Potrzebował więc św. Józef wiary, tym potężniejszej, tym bardziej nadprzyrodzonej, im bardziej uniżało się i ukrywało Bóstwo Chrystusowe. To wyniszczenie Boga - człowieka było dla św. Józefa tajemnicą, jakby mgłą jakąś czy ciemnością, przez którą należało się przebić, aby objąć prawdę, jaka się w tej mgle ukrywała.

Zresztą i dla nas także, dopóki żyjemy na ziemi, prawdy podane przez wiarę nie są oczywiste, inaczej nie byłaby to już wiara.

nie widzenie. Rozum przygotowuje wprawdzie drogę wierze, ale sam nie może jej zastąpić. Prawdy wiary przewyższają niezmiernie ograniczony nasz rozum, dlatego niejako zaciemniają go, podobnie jak jasna światłość dnia razi i zaciemnia chore oczy. Mrok wiary, w którym żyjemy tutaj, zamieni się dopiero w życiu przyszłym na widzenie uszczęśliwiające, widzenie Boga twarzą w twarz. „Wyobrażone to mamy na wojsku Gedeona", — mówi św. Jan od Krzyża — „którego wszyscy żołnierze trzymali w rękach światła, a niewidzieli ich; ukryte je bowiem mieli w ciemnościach naczyń, po których rozbiciu natychmiast ukazało się światło. Tak wiara, którą owe naczynia przedstawiają, zawiera w sobie Boskie światło [1]) — i ona to właśnie spełniona i niejako rozbita przez zerwanie i koniec życia śmiertelnego, natychmiast ukaże światło i chwałę Bóstwa, którą zawierała w sobie. Wynika stąd jasno, że aby dusza w tym życiu doszła do zjednoczenia z Bogiem i do bezpośredniego z Nim związku, musi koniecznie złączyć się z mgłą, w której według słów Salomona Bóg przyrzekł mieszkać i stowarzyszyć się z wichrem, którym się posługiwał, gdy odkrywał Jobowi tajniki Swoje; i wśród ciemności wziąć w dłonie urny Gedeonowe, ażeby trzymać w swych rękach (to jest w uczynkach woli swojej) światło, którym jest zjednoczenie miłości, jeszcze w mrokach wiary, aby natychmiast po rozbicu naczyń tego życia, które jedynie nie dopuszczały światłości z wiary, ujrzała Boga w chwale twarzą w twarz".

Poprzez te mroki szedł niezachwianie św. Józef, prowadzony ukrytym światłem wiary. Poprzez ciemność, przylgnął całą siłą woli, do prawdy Bożej. Wiara nie jest sprawą samego tylko rozumu, ale sprawą człowieka c a ł e g o, współdziałającego z Bogiem. Pozbawiona uczynków, staje się matrwą, bo „wiara przez miłość działa".

Taką właśnie ukazuje się nam wiara św. Opiekuna Jezusowego. Chrystus, jako warunek niezbędny dla skuteczności działania łaski, kładł zawsze wiarę. Jakąż więc pociechę tajemną musiał sprawiać Mu w tym względzie św. Józef!

Życie wewnętrzne św. Patriarchy płynące z wiary i w tym także było przedziwne, że miał tak blisko siebie przedmiot wiary swojej — miał Tego, „w którym mieszka cieleśnie pełność Bóstwa". Nikt oprócz Najśw. Panny nie stanął tak blisko św. człowieczeństwa Chrystusowego. Ta błogosławiona bliskość stanowiła niewątpliwie dla św. Józefa źródło wielkich łask nadprzyrodzonych i szczególnych oświeceń, źródło całego życia wewnętrznego. Zapewne poczynała wówczas Mądrość Boża wtajemniczać Świętego w niezgłębione drogi swoje, plany zbawienia ludzkości. Z małego Nazaretu rozciągała się olbrzymia perspektywa, ogarniająca cały świat.

---

[1]) Noc ciemności — Św. Jan od Krzyża.

Życie wewnętrzne: miłość i cierpienie.

Wiara Świętego rozkwitała i wyrażała się w miłości. Źródło i kres miłości jego stanowił Chrystus, oglądany tak z bliska. Widział i rozważał Święty, że Bóg przyjął postać sługi, że miłość pojmała Go i sprowadziła na ziemię. Czuł się miłowanym przez Boga i to w sposób tak poufny, pełny słodyczy. Słuchał z uczuciem najgłębszej pokory i miłości, jak Boskie Dziecię dawało mu imię Ojca. Spełniać z największą tkliwością obowiązki ojcowskie, stawać przy Jezusie jako „cień Ojca Przedwiecznego", opiekować się Matką Bożą — oto co przynosiło św. Józefowi największe, najczystsze radości.

Całą istotę jego objęła miłość, oddał się zupełnie Chrystusowi i zupełnie zapomniał o sobie. Całe dalsze życie jego nosi to charakterystyczne piętno: przekreślenie siebie zupełnie. Miłość, to jest dar samego siebie, a więc Święty oddał się całkowicie swemu powołaniu. Wszystkie dążności, pragnienia, wysiłki skierowały się ku Chrystusowi. Dla Niego i dla Jego Najśw. Matki odda św. Józef wszystkie siły fizyczne i moralne, całą istotę w sposób wyłączny. Cokolwiek Ewangelia zanotuje o Świętym od chwili, gdy anioł oznajmił mu powołanie jego, wszystko odnosi się do roli, którą spełnia jako głowa Najśw. Rodziny.

Miłość św. Józefa wyrażała się również i przez cierpienie. Tu na ziemi, kochać, to znaczy już zdecydować się, zgodzić się na cierpienie. Dopiero w cierpieniu miłość daje swoją pełną miarę. Słowo Wcielone, które miało zbawić ludzkość przez krzyż, naznaczyło nim zarówno całe własne życie, jak i życie swoich bliskich. Im kto bliższy Chrystusowi, tym bliższy jest cierpienia. W boleści najjaśniej rozbłyska miłość i triumfalnie przezwycięża wszystko. Na miarę miłości św. Józefa było też i jego cierpienie. Tak, jak cieszył się jedynie radością Jezusową i chwałą Jego, tak bolał nad uniżeniem Syna Bożego, nad trudami Jego i ubóstwem. Echo takich przeżyć słychać choćby w scenie znalezienia Jezusa w świątyni, gdzie przez usta Matki Najśw. przemówiła wspólna boleść — Jej i św. Józefa.

Sam Bóg tak przedziwnie układał ten dialog, tak kierował życiem Świętego, że radosne wydarzenia nieodmiennie przeplatały się cierpieniem. Zaś św. Opiekun mężnie brał krzyż na każdy dzień i dążył ślad w ślad za swoim młodocianym Mistrzem.

Życie wewnętrzne: modlitwa.

Wiara i miłość Świętego czerpały swój wzrost szczególnie w modlitwie. Modlitwa — jak nas pouczają święci — to przyjacielskie, często powtarzane obcowanie z Bogiem, o którym wiemy, że nas miłuje. (Św. N. Matka Teresa). W myśl tego całe życie św. Patriarchy stawało się jedną nieprzerwaną modlitwą, obcowaniem z Bogiem wśród głębokiej ciszy. „Jedno Słowo wypowiada nieu-

stannie w wieczystym milczeniu: w milczeniu też powinna słuchać Go dusza“ (Św. O. Jan od Krzyża). Może tu właśnie leży wyjaśnienie przedziwnego milczenia św. Józefa. W milczeniu nazaretańskiego domku obcowanie z Bogiem trwało nieprzerwanie, coraz wyraźniej brzmiało Jego Słowo w tej rozmowie poufnej, w dialogu duszy ze Stwórcą.

Obdarowany był Święty łaską modlitwy najwznioślejszej i najprostszej — kontemplacji. Kontemplacja, bogomyślność, proste miłosne wpatrywanie się oczyma wiary w Prawdę Bożą, to już na ziemi początek wiecznego życia, które polega na widzeniu Boga, jak o tym mówił sam Zbawiciel: „A ten jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie, Boga prawdziwego i któregoś posłał, Jezusa Chrystusa“. Ten początek życia wiecznego, dostępny dla nas już na ziemi, w sposób całkiem szczególny, stał się udziałem św. Józefa, któremu dane było widzieć Zbawiciela w ludzkiej postaci i z Nim żyć w najściślejszej łączności.

„Sprawiedliwy z wiary żyje“.

Jeśli jest prawdą, że dopiero w życiu, w zetknięciu z rzeczywistością, okazuje się, czym jesteśmy od wewnątrz i co stanowi motor naszego działania, to zasada ta daje się zastosować szczególniej do każdego Świętego. Działalność Świętych tryska samorzutnie z bogactw ich wewnętrznego życia. Z wiary żyje sprawiedliwy — to znaczy — nie tylko za podstawę swego światopoglądu, ale i za prawidło postępowania bierze prawdę objawioną przez Boga. Żyć z wiary, to znaczy, w całym życiu swoim, uczynkiem i prawdą być posłusznym Bogu.

Posłuszeństwo całkowite, natychmiastowe, dla Woli Bożej, gdy tylko ona się objawiła, to nader charakterystyczna cecha św. Józefa. Zaledwo anioł przyniósł mu Boży rozkaz, Święty powstaje ze snu i w nocy udaje się w daleką drogę. I taki będzie stale sposób jego postępowania.

„Sprawiedliwość“, którą Ewangelia przyznaje św. Józefowi, wzięta w znaczeniu szerszym, oznacza nie tylko cnotę sprawiedliwości, jedną z czterech cnót kardynalnych, ale znaczy: świętość, pełnia cnót, rozkwitłych w duszy dzięki współdz z łaską Bożą.

Sprawiedliwości starozakonnej, płynącej ze spełniania Starego Prawa, przeciwstawia św. Paweł doskonalszą i pełniejszą sprawiedliwość Nowego Zakonu, której źródłem wiara w Chrystusa. Św. Józef zajmuje szczególne miejsce, wyznaczone mu przez Opatrzność w dziedzinie Nowego, wiecznego Przymierza i staje się uczestnikiem jego sprawiedliwości. Chrystus, który jest milczącym mistrzem św. Józefa, powie kiedyś, że nie przyszedł rozwiązywać Zakonu, ale wypełniać. Jego zaś święty Opiekun, stojący na pograniczu dwu epok, spełnia wymagania zarówno Starego Prawa jak i nowego, którego uczy się u Chrystusa, nie słowem, ale czynem. Dla Niego Chrystus staje się w sposób przedziwny i bardziej bezpośredni niż dla nas, Drogą, Prawdą i Życiem.

Św. Józef to człowiek pełny, nic ludzkiego nie jest mu obce. Zna radość i nadzieję, ból i obawę, ale przedmiotem ich tylko Bóg sam.

Ścieżka tego Sprawiedliwego, jako jasna światłość, wschodzi i rośnie. Każdy krok zbliżał go coraz bardziej ku Bogu. W tym zaś dialogu wewnętrznym, którym jest historia duszy, na każde słowo, każde wymaganie Boże odpowiadał Święty swoje **„tak“** nie słowem, ale czynem. Nadszedł wreszcie cichy i pogodny finał. Spokojnie zasnął św. Józef w objęciach dwu najświętszych na ziemi istot, Jezusa i Maryi. Poprzez mrok wiary wprowadził Bóg swego najwierniejszego sługę w światłość pełnego dnia. Zobaczył już bez zasłony oblicze Chrystusa, którego Opiekunem i przybranym Ojcem był na ziemi.

Święty Józef a my.

Gdy tak wmyślamy się w wewnętrzne życie Opiekuna Jezusowego, wyłania się nam coraz wyraźniej z półmroku spokojna niezłomna postać Świętego. Czujemy, że chociaż to jest ktoś, kto niezmiernie nas przewyższa, jednak rozumie nas ktoś, na kogo zawsze liczyć można. Jest tak bardzo Boży, a zarazem ludzki, nie przeraża. Prowadził życie podobne naszemu, a sposób jego postępowania wnosi wiele światła w nasze własne życie. Każda dusza w swoim wewnętrznym obcowaniu z Bogiem może mieć przed oczyma przykład św. Józefa, zdążać przez mrok wiary do pełnej światłości Bożej. Może uczyć się od Niego posłuszeństwa bohaterskiego, całkowitego, na każde wezwanie Boże, posłuszeństwa, które stanowi praktyczny wyraz naszej wiary i miłości. Może uczyć się, jak w milczeniu wsłuchiwać się w Boże słowo.

Aby zaś trudna droga wzwyż nie odbierała nam sił i odwagi trzebaby z całą ufnością polecić się opiece św. Józefa, który, jak ongiś opiekował się Chrystusem, tak i dziś chce opiekować się Nim, wzrastającym w duszach naszych. Święci zapewniają nas, że Pan Jezus zachował w pewnym sensie, w życiu chwalebnym ten stosunek, jaki go na ziemi łączył z Świętym Opiekunem. Św. Matka Nasza Teresa wzywa nas do ufności względem św. Józefa:

„Pragnęłabym wszystkich pociągnąć do czci tego chwalebnego Świętego, wiedząc z długoletniego doświadczenia, jak wielkie dobro on jest mocen wyjednać nam u Boga. Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo, ktoby prawdziwie miał do niego nabożeństwo i szczególną cześć mu oddawał, a nie czynił coraz większych postępów w cnocie, bo on w sposób dziwnie skuteczny wspomaga każdą duszę, która się mu poleca. Od wielu lat już, o ile pamiętam, co roku w dzień święta jego, proszę go o jaką łaskę i zawsze ją otrzymuję, a jeśli prośba moja jest w czym niewłaściwa, on ją zawsze sprostuje dla większego dobra mego“. (Życie r. VI).

Winniśmy Świętemu: naśladowanie i ufność. A wtedy on przeprowadzi nas poprzez wszystkie trudności życia tak bezpiecznie i spokojnie, jak kiedyś prowadził za rękę małego Jezusa.

O. Jacek Woroniecki O. P.

Tajemnica cierpienia

„Cieszę się w cierpieniach moich" [1].

Cierpienie, gdy się powierzchownie na nie zapatrywać, nic tajemniczego w sobie nie zawiera; tyle go jest na świecie, że myśl nasza oswoiła się z jego istnieniem i nieraz przechodzimy koło najcięższych jego przejawów, nie zatrzymując się nawet, gdy nas samych nie tyczą.

W miarę jednak, jak zechcemy się nad cierpieniem zastanowić, poszukać skąd pochodzi i zapytać się, czy i jakie zadanie ma wypełnić w życiu ludzkości, przekonywamy się, że jest w nim ukryta głęboka tajemnica, której umysł nasz, własnym siłom pozostawiony, przeniknąć nie zdoła. Dopiero w świetle wiary staje się nam powoli jasnym, czego cierpienie ma dokonać na ziemi, jakie jest jego miejsce w całokształcie naszego życia, co może i powinno każdemu z nas przynieść. Nie przestaje ono być tajemnicą, ale staje się tajemnicą wiary, której wprawdzie do dna zgłębić nie możemy, lecz której wiarogodność, doniosłość i nawet dobroczynność stają nam się coraz jaśniejsze. W związku z innymi tajemnicami wiary, tajemnica cierpienia staje wtedy przed nami jako jeden z istotnych składników objawienia chrześcijańskiego, jako cząsteczka tej dobrej nowiny, którą Chrystus Pan przyszedł zwiastować światu i której Jego Kościół nie przestaje głosić aż do skończenia świata. Łączy się ona najściślej z tajemnicą Wcielenia i Odkupienia, jak to sam Zbawiciel powiedział Swoim uczniom w drodze do Emaus po Swym Zmartwychpowstaniu, tłumacząc im wszystko, co w Piśmie św. o Nim było powiedziane i pokazując im, że „trzeba było, aby cierpiał — i tak wszedł do chwały Swojej" [2]). Po Nim św. Paweł wciąż do tej myśli powracał, zestawiając cierpienie z Odkupieniem przez Chrystusa i z chwałą wieczną [3]).

Jeśli tedy zapytamy w świetle wiary, jakie jest najgłębsze źródło cierpienia, to odpowiedź nasza będzie, że jest nim nasz **charakter istot stworzonych,** nie mających w sobie źródła własnego bytu, a przeto nie mogących w sobie samych znaleść pełni szczęścia. Szczęście to możemy znaleść tylko tam, gdzie jest pełnia bytu, jedynie zdolna nasycić całkowicie pragnienie szczęścia nieskończonego, tkwiące na dnie każdej istoty rozumnej, i do tej to Istoty, będącej pełnią bytu, wszystkie wysiłki naszej duszy winny być skierowane, od Niej winniśmy czerpać prawa i normy naszego postępowania, zdolne nas do Niej doprowadzić.

Wynika z tego, że nie tylko nie mamy w sobie źródła bytu ani też własnego naszego szczęścia, ale nie jesteśmy dla siebie samych normą naszego postępowania, że normy te dane nam są przez Tego,

---

[1]) Kol. I. 24.

[2]) Łuk. 24, 26.

[3]) Rzym. 8, 18; II Kor. 1, 52. Potem także I Piotra 4, 1.

który nas stworzył i przeznaczył do szczęścia wiecznego, będącego udziałem w tym szczęściu nieskończonym, którym On sam żyje. Tylko posłuszeństwo tym prawom Bożym i kroczenie po drogach, jakie prowadzą nas do naszego celu ostatecznego, zbliża nas do szczęścia i nawet, nim go jeszcze w pełni osiągniemy, daje już pewien w nim udział. Każde natomiast odchylenie od tych norm, każde zboczenie z tych dróg Bożych od tego szczęścia oddziela i jeśli nawet daje pewne przemijające zadowolenie z dziedziny dóbr doczesnych,, to jednak kończy się zawsze tęsknotą za dobrem wiecznym i jakimś cierpieniem, które zbytnie przywiązanie do doczesności zawsze w duszy wywołać musi! Tu jest źródło ostatnie wszelkiego cierpienia. Nie jesteśmy z siebie i nie w sobie mamy nasz cel; nie mamy też w sobie i z siebie norm naszego postępowania, ale winniśmy się rachować z tymi, które nam dał Ten, przez którego i dla którego zostaliśmy stworzeni i w którym mamy znaleźć pełnię bytu i szczęścia. Odchylenie się od nich uniemożliwia szczęście i z konieczności wnosi do życia cierpienie. To ostatnie jest nierozerwalnie złączone z charakterem istoty stworzonej, jest dziedzictwem całego stworzenia, od którego nic nie może go uwolnić.

Ale w świetle wiary, to cierpienie, tak przeciwne stworzonej naturze, zaczyna nabierać innego jeszcze charakteru i w innym jeszcze świetle stawać przed oczami duszy. W miarę, jak człowiek przyjmuje objawienie chrześcijańskie, zaczyna jednocześnie rozumieć, że cierpienie posiada jakąś wartość duchową, której w nim nie widział, póki tylko przyrodzonym światłem rozumu się na nie patrzał. I w miarę jak się umysł coraz bardziej poddaje światłu wiary, w miarę jak wyrastające z niej nadzieja i miłość coraz bardziej przenikają duszę i cierpienie przybiera w jej oczach coraz piękniejszą szatę, coraz mniej staje się przekleństwem, aby tam u szczytu rozwoju duchowego stać się błogosławieństwem.

To duchowe przekształcenie cierpienia tylko wiara może nam wyjaśnić, jest bowiem najściślej związane **z tajemnicą upadku rodu ludzkiego i z tajemnicą jego Odkupienia przez Wcielenie Słowa Bożego.** Jest ono istotnym składnikiem tego zbawczego procesu, wciąż odbywającego się w mistycznym Ciele Chrystusa, którym jest Kościół.

W samej rzeczy wiara nas uczy, że Odkupienie rodu ludzkiego odbyło się przez mękę Syna Bożego, który na to przyjął naturę ludzką, aby móc w niej cierpieć i cierpieniem swym zadośćuczynić sprawiedliwości Bożej. Było to cierpienie najbardziej niewinne i niezasłużone, z którego żadna, najmniejsza nawet cząstka nie szła na zadośćuczynienie za winy cierpiącego, będącego bez żadnej winy, i które przeto całe mogło być ofiarowane Bogu za winy rodu ludzkiego. Cierpienie najniewinniejsze, najczystsze od wszelkiej własnej korzyści i już przez to mające na sobie piętno czegoś szlachetnego, na co ród ludzki zdobyć by się nie mógł, było jednocześnie cierpieniem Boga, znoszonym nie w naturze Boskiej, niedostępnej dla cier-

pienia, ale w naturze ludzkiej, złączonej z nią w jedności osoby. To nadawało męce Zbawiciela jej wartość nieskończonego zadośćuczynienia o wiele większej ceny, niż wielkość obrazy, którą stworzenie wyrządza Bogu, gdy przeciwko Niemu powstaje. Takiego zadośćuczynienia Bóg nie mógł odrzucić, gdyż pochodziło od istoty Mu równej, która z wolnej i nieprzymuszonej woli wstąpiła na krzyż, aby tam z wyciągniętymi do nieba ramionami wybłagać nam Zbawienie. I wybłagała je, nie tylko dla winy odziedziczonej po pierwszych rodzicach, nie tylko dla win popełnionych przez ludzkość przed Jej przyjściem na świat i przed śmiercią krzyżową, ale i dla wszystkich win, które do końca świata będą przez nas popełnione. Bo choć męka trwała krótko, parę godzin zaledwie, Chrystus jednak, siedząc na prawicy Boga Ojca, „wciąż żyje, aby się wstawiać za nami“ [1]) — i ponawia Bogu Swą ofiarę za nasze Zbawienie, powtarzając ją co chwila w Jej cudownej formie Eucharystycznej po całym świecie.

Uwolnieni od winy, nie jesteśmy jednak uwolnieni od kary tj. od cierpienia, które jest naszym dziedzictwem jako stworzeń i jako dzieci Adama i Ewy. Chrzest św. gładzi w nas przez zasługi męki Chrystusowej to, co ma charakter winy, ale nie uwalnia nas od następstw, jakie przewinienie pierwszych naszych rodziców pozostawiło w naszej naturze, a więc od śmierci, chorób i tego rozdźwięku, jaki brak sprawiedliwości pierworodnej w niej wywołuje. Wszystkie te następstwa grzechu pierworodnego winy już żadnej nie stanowią, ale są jej karą i źródłem cierpienia, od którego nikt uchylić się nie może: na czoło się wysuwa śmierć, której widok przez całe życie stoi przed człowiekiem i grozą go przejmuje. Ale i to wewnętrzne rozdwojenie i te walki, które każdy z nas musi wciąż staczać, aby opanować w sobie przeróżne złe skłonności, wciąż budzące się w jego duszy i ciele, jakże głębokim źródłem udręki i cierpienia są one nieustannie dla biednej ludzkości!

Tylko że dziś całe to cierpienie nie jest już czymś bezpłodnym! Przeciwnie! Od nas tylko zależy, aby sobie je przeistoczyć na źródło łask, zadośćuczynienia i oczyszczenia, a to przez łączność z cierpieniem Chrystusowym. Kto karę z poddaniem przyjmuje i w duchu pokuty wypełni, ten wyrównywa swój rachunek z tym, względem którego zawinił i czyni zadość sprawiedliwości. I my więc przyjmując w duchu pokuty wszystko, co nam cierpienie sprawia, możemy całkowicie wyrównać nasze rachunki i zadośćuczynić sprawiedliwości Bożej za nasze grzechy nawet najcięższe, bo choć obraza Majestatu Bożego ma w sobie coś nieskończonego, a nasze zadośćuczynienie jest zawsze wartości skończonej, to jednak i ono nabiera mocy nieskończonej, gdy zostanie połączone z cierpieniem Chrystusowym, jako udział w Jego Najświętszej Męce.

Tu dopiero odkrywa się przed nami cała doniosłość nauki o tej cudownej jedności wszystkich dusz ludzkich, które razem z Chrystusem stanowią jedno ciało mistyczne, jakby jakiś organizm nad-

[1]) Żyd. 7, 25.

przyrodzony, po którym wciąż spływa łaska uświęcająca, stanowiąca tę więź, która nas wszystkich z Chrystusem łączy. Tak wyraźnie jest ona wyrażona przez Samego Zbawiciela w tym porównaniu, gdzie siebie nazywa winną macicą, a nas latoroślami, czerpiącymi z niej życiodajne soki [5]). A św. Paweł rozwija dalej tę naukę Zbawiciela o jedności z Nim wszystkich dusz, porównując nas z ciałem, którego sam Chrystus jest głową [6]). Miał on to przekonanie, że jemu to przypadło w udziale przekazać Kościołowi ten punkt nauki objawionej, i dla tego tak często w swych listach do niego powraca [7]). Jednocześnie poznajemy z jego słów, jaką rolę w tym zjednoczeniu z Chrystusem odgrywa cierpienie i jakiej wartości nabiera ono dla dusz, gdy sobie uświadomią jego doniosłość w dziele odkupienia.

Nigdzie głębiej i dobitniej nie wyraża on tej nauki, jak w tym słynnym ustępie z listu do Kolosan, w którym pisze, że „dopełnia, czego niedostawa utrapieniom Chrystusowym za ciało Jego, którym jest Kościół [8]). Cóż mogą znaczyć te słowa? Czyżby naprawdę Męce Chrystusa Pana mogło czegoś brakować, czyżby nie była ona wystarczającą do zbawienia całego świata? Bynajmniej, ona zawiera w sobie pełnię mocy zbawczej, ale że jest przenaczona dla istot rozumnych, przeto żąda od nich czynnej współpracy, czynnego udziału w tym wszystkim, co stanowi jej istotne składniki. I w cierpieniu przeto Chrystusowym winniśmy mieć czynny udział, jeśli chcemy z niego korzystać. To trochę cierpienia, którym każdy z nas ma się połączyć z Męką Chrystusową, jest tym, co w niej niedostawa na to, aby mogła stać się dla każdego z nas źródłem Zbawienia.

Dla wyjaśnienia tej tajemnicy możemy sięgnąć do porównania z dziedziny życia społecznego, mianowicie z organizacji drobnego kredytu. Oto, aby móc otrzymać pożyczkę z takiej Kasy Pożyczkowej, trzeba się wprzód zapisać na jej członka i zapłacić niewielką wkładkę. Kto tego nie uczyni, nie ma prawa do kredytu, kto zaś zostanie członkiem i wkładkę wpłaci, ten ma kredyt otwarty i ma natychmiast możność zaciągnąć pożyczkę w znacznie wyższej kwocie, niż roczna jego wkładka członkowska. Coś podobnego się dzieje i w ciele mistycznym Chrystusa, którym jest Kościół. Kto chce być Jego członkiem i korzystać ze skarbów Męki Pańskiej, którymi On szafuje, musi się do niego zapisać, następnie regularnie wpłacać swą małą wkładeczkę cierpień, której tam niedostawa na to, aby i on był bogatym całym bogactwem, które Cierpienie Chrystusowe przyniosło światu.

W świetle tej nauki każde cierpienie ludzkie nabiera niespodziewanej zupełnie dla przyrodzonego rozumu wartości. Zaprawdę można powiedzieć, że z przekleństwa staje się błogosławieństwem, bo daje odkupienie win, wyzwolenie i oczyszczenie od zła i świadomość współpracy czynnej w wielkim dziele Zbawienia świata.

---

[5]) Jan 15, 1.
[6]) Rzym. 12, 4-5; ale szczególnie I Kor. 12, 12-30. Także Efez. 4, 1-16.; Kol. 1, 18; 2, 19.
[7]) Efez. 3, 1-13. [8]) Kol. 1. 24.

Boć i ze słów św. Pawła do Kolosan wypływa, że te utrapienia, którymi on dopełnia, czego niedostawa Chrystusowym, mają iść nie tylko na jego korzyść, ale i na korzyść całego Kościoła, całego ciała mistycznego Chrystusa! Dusza, która wierną służbą Bożą, modlitwą, umartwieniem i tymi cierpieniami, które jej Bóg zsyła wyrównała swe winy i zadośćuczyniła Bogu za wszystko, czym Go obraziła, jeśli dalej wiernie Bogu służy i z poddaniem się woli Bożej znosi zesłane jej przez Opatrzność krzyże, **wzbogaca skarbiec zasług Kościoła,** cierpiąc już nie za siebie, ale za innych. Zdarza się czasami — jak to miało miejsce u św. Pawła — że Bóg daje jej do zrozumienia, iż jej rachunki są już wyrównane i że ma już to wielkie szczęście cierpienia z Chrystusem za winy bliźnich i brania czynnego udziału w dziele Zbawienia świata, które tak wielki blask chwały posyła z ziemi do nieba.

Wtedy to w duszy rodzi się to dziwne i niepojęte dla rozumu przyrodzonego zjednoczenie dwóch najsprzeczniejszych między sobą uczuć: **cierpienia i radości:** ona raduje się ze swego cierpienia i nie wyobraża sobie, jakby mogła bez niego żyć, ceniąc sobie jako największą łaskę móc do skarbca Męki Chrystusowej składać swój wdowi grosik. Wtedy to wyrywają się nieraz z jej ust słowa, podobne do tych, które spotykamy w żywocie św. Teresy: „aut mori, aut pati“, „albo umrzeć, albo cierpieć“. Radość, jakiej takie wybrane dusze doznają, wzmaga jeszcze i to przekonanie, że tym cierpieniem i jego wartością mogą one w pewnym stopniu i w pewnych granicach same dysponować, że wolno im prosić Boga, aby je przyjął na tę lub ową intencję, za dusze szczególniej umiłowane lub za sprawy Kościoła najbardziej potrzebujące pomocy Bożej.

Zapewne, że rzadko się zdarza, aby Bóg dawał duszy poznać, iż dojrzała już do pełnego cierpienia z Nim za Kościół. Ogromna większość wiernych winna się tu kontentować światłem wiary, co tak jasno nas poucza o tej wielkiej solidarności nadprzyrodzonej, którą nazywamy świętych obcowaniem. Kierowani tą wiarą, winni oni zawsze wszystkie swe cierpienia łączyć z cierpieniem Chrystusa i, nie dociekając, czy już wyrównali swój rachunek, błagać Go, aby chciał nim dysponować, czy to dla zadośćuczynienia za ich winy, czy też na rzecz innych potrzeb w Kościele. Wszak na tej zasadzie oparta jest cała nauka o odpustach, tak powierzchownie nieraz rozumiana, a tak doniosła dla naszego życia duchowego. Jednego wszakże nie powinna nam ona przesłaniać, to jest doniosłości o wiele większej jeszcze cierpienia: ponad wszystkie modlitwy, umartwienia i inne pobożne uczynki, do których z ustanowienia Kościoła przywiązane są odpusty, istnieje z ustanowienia Chrystusa o wiele potężniejsze źródło zapewniające nam odpuszczenie zasłużonych kar za grzechy, a tym jest cierpienie, dobrowolnie przyjęte z rąk Bożych i pogodnie znoszone w łączności z cierpieniem Chrystusa Pana.

Cierpieniem dla nas jest wszystko, co się sprzeciwia naszej woli i naszym upodobaniom. W dziedzinie fizycznej będzie to równie

dobrze ból, jak wielka niemoc, choćby bez bólu, te długie nieraz chwile, gdy człowiek trawiony chorobą, sam sobie staje się ciężarem. Jak głębokim źródłem cierpienia są te przewlekłe choroby bez wielkich bólów, ale z wielką niemocą niepozwalającą na żadną pracę, na żaden wysiłek, te stany nerwowe, które ubezwładniają wewnętrznie i których najboleśniejszym składnikiem jest to, że otoczenie tak ich nie pojmuje!

Ale nie o jedne cierpienia fizyczne nam tu idzie! Głębsze jeszcze są cierpienia moralne, widok zła, nieładu, lekkomyślności ludzkiej i przewrotności, która zewsząd człowieka otacza i na którą nieraz nic poradzić nie może. I ten bólów ból trzeba cierpliwie i pogodnie znosić, nie obojętniejąc bynajmniej na to wszystko, co jest obrazą Bożą, ale bardzo się pilnując, aby nie wyrywać kąkolu przed godziną wyznaczoną przez Boga. Duchem nadprzyrodzonym przeniknione cierpienie moralne, spowodowane otaczającym nas złem, wielką musi mieć wartość w oczach Bożych, skoro Chrystus Pan zaliczył je do rzędu ośmiu błogosławieństw. Wszak do niego odnosi zarówno czwarte błogosławieństwo, zapewniające tych, co łakną i pragną sprawiedliwości, iż będą nasyceni, jak i ósme, obiecujące królestwo niebieskie cierpiącym prześladowanie dla tejże sprawiedliwości! Ciche i pogodne znoszenie prześladowań mniejszych lub większych lub choćby przeciwieństw, tam gdzie idzie o zaprowadzenie czegoś z wymagań Królestwa Bożego i jego sprawiedliwości na ziemi, należy do bardzo głębokich cierpień, ale i bardzo wzmacniających duszę i przynoszących o wiele większe i szybsze wyniki w walce o sprawiedliwość, niż otwarta o nią walka. To jest właściwy sens praktyczny obu tych błogosławieństw Chrystusowych.

Dodajmy do nich jeszcze i bardziej ukryte cierpienia duchowe, na widok własnych win, braków i niedomagań, cierpienia, które nieraz Bóg bardzo wzmaga w duszy, dając jej widok własnej nędzy, aby ją tą drogą oczyścić i pobudzić do większych wysiłków w walce o doskonałość, a będziemy mieli to, co może jest najcięższego do zniesienia, z czym najtrudniej jest się pogodzić. Jak często pomimo najlepszej chęci, człowiek nie może jakiegoś zła w sobie całkowicie opanować, i to cierpienie duchowe, które mu ono sprawia, grozi mu załamaniem. Tymczasem i tu nie trzeba zapominać, że Bóg patrzy jedynie na tę całkowitą dobrą wolę, jaką się okazuje w walce, wyniki zaś tej walki rezerwuje sobie i sam wyznaczy im odpowiedni czas, może w chwili, kiedy dusza najmniej się tego będzie spodziewać. Cierpienie, którego ona przy tym doznaje, tak samo jak każde inne, winno być przyjęte jako kara, jako zadośćuczynienie, i złączone z cierpieniem Chrystusowym; będzie ono ją hartować, ucząc panować nad odruchami miłości własnej, której tak trudno jest pogodzić się z widokiem własnej niedoskonałości. Cierpienie miłości własnej trzeba tu przerobić na cierpienie z Chrystusem, przestać się niecierpliwić na siebie, upadać na duchu, słowem mazgaić na różne sposoby, ale zapomnieć o sobie i cierpieć z Chrystusem, pamiętając jedynie o tym, że to Jego każde

nasze uchybienie obraża. Tą drogą mężnego zaparcia się swej miłości własnej o wiele prędzej dojdzie się do większego opanowania w sobie swych złych skłonności, niż dłubaniem w sobie i rozpaczaniem nad swymi niedoskonałościami.

Możnaby jeszcze wiele innych objawów cierpienia przejść i przeszukać ich źródła, ale nie wiele nowego by nam to już powiedziało. Z umysłu pominęliśmy cierpienia związane z przywiązaniem do rzeczy doczesnych, jako bardziej znane, a zatrzymaliśmy się nad tymi, które w życiu duchowym powstają i których zrozumienie przedstawia o wiele więcej trudności.

Wszystkie one mają tę samą własność, że są tak strasznie przeciwne naszej naturze, gdy się na nie patrzy przyrodzonym światłem rozumu, a że oświecane promieniami wiary zaczynają nabierać innych barw i kształtów, i powoli przeistaczać się, zmieniając wartość, aby wreszcie u szczytu rozwoju duchowego stać się źródłem błogosławieństwa.

Czynnikiem, który ma tego dokonać, nie jest co inszego, jak **miłość**, która sprawia, że cierpienie przyjęte od Boga, pozostając nadal czymś przeciwnym naszym skłonnościom przyrodzonym, realizuje jednocześnie głębsze pragnienie, rozbudzone przez łaskę w duszy, pragnienie możliwie bezinteresownego służenia Bogu. Otóż jedyną okazję po temu daje nam właśnie cierpienie; w nim człowiek nic dla siebie nie ma, i nic dziwnego, że póki sądzi, iż nie posiada ono żadnej innej wartości, broni się od niego, jak może. Ale oto wiara otwiera przed duszą nowe horyzonty; pokazuje jej ona nieskończoną wartość Męki Pańskiej i zaprasza do udziału w niej z miłości tego Chrystusa, który czeka na podobne dowody bezinteresownego oddania Mu się w zjednoczeniu cierpienia. To jest właściwe znaczenie tego, co Pius XI w swej pięknej Encyklice „Miserentissimus Redemptor", nazwał pocieszaniem Serca Pana Jezusa. Jest to ludzki sposób mówienia, ale na inny nas nie stać. Przy tym nie tylko pocieszamy Zbawiciela i jakby ujmujemy ciężaru Jego krzyża, dźwigając go razem z Nim na wzór Cyrenejczyka, ale bierzemy udział w tym wielkim i tak czystym i bezinteresownym hymnie chwały, który z Męki Pańskiej bije do tronu Bożego.

A wszystko to sprawia miłość, którą kochamy Boga nie dlatego przede wszystkim, że On jest naszym dobrem najwyższym, ale że jest nim sam w sobie i że sam dla siebie jest najbardziej miłości godzien. Czym w dziecinnej bajce jest owa różdżka, która wszystko, czego się dotknie, choćby to było błoto, zamienia na złoto, tak w życiu duchownym miłość ma moc przeistaczania wszystkiego na dobro i nadawania wszystkiemu jakiejś wyższej wartości moralnej. Cudownie to wyraził św. Paweł w tych słowach: „miłującym Boga wszystko się obraca ku dobremu". [9]).

Obrócić ma się ku dobremu nawet to, co jest najbardziej przeciwne, a mianowicie cierpienie, i to jest chrześcijańska tajemnica cierpienia, tajemnica wiary i tajemnica miłości.

---

[9]) Rzym. 8, 28.

O. R. Kostecki O. P.

Świętość „nowoczesna"

Czy w ogóle jest sens mówić o nowoczesnej świętości? Czy możliwą jest świętość, któraby się nie nadawała na czasy obecne? Słowem, czy świętość jest to coś, co może się zmieniać, jak zmieniają się na przykład systemy filozoficzne, ustroje społeczne itp.

Bardzo często słyszy się powiedzenie, że ten lub tamten święty jest nowoczesny. I na odwrót, że ten inny, to święty średniowieczny.

Pod pewnym względem można mówić o świętości „nowoczesnej"; ale tylko pod pewnym, bo świętość istotna, czyli to, co czyni kogoś świętym, jest niezmienne. Jest zawsze, niezależnie od warunków danego wieku, takiem samem.

W świętości należy odróżnić dwie rzeczy: właściwą wewnętrzną świętość oraz jej objawy zewnętrzne w życiu.

Przez swą stronę wewnętrzną świętość jest zawsze taką samą. Z tej strony ją biorąc, nie można kwalifikować świętości na nowoczesną i nienowoczesną. Podchodząc zaś do niej od strony zewnętrznej, czyli mając na uwadze jej promieniowanie na zewnątrz, można mówić o jej nowoczesności lub nienowoczesności.

* * *

Świętość nasza jest uczestnictwem w świętości Boga. Świętość jest atrybutem bożym, podobnie jak wieczność, niezmierzoność. Oznacza wzniesienie się Istoty Bożej ponad wszystkie stworzenia istniejące czy też mogące zaistnieć. Bóg przez pełnię swego bytu jest ponad wszelkim stworzeniem. Nie mogąc doskonalić się, jest wolny od wszelkiej domieszki niedoskonałości. Będąc z natury niezmienny, jest też w najwyższym stopniu ustalony w swej doskonałości. To czyni Go niezależnym i pełnym majestatu i daje Mu absolutne prawo do szczególniejszej czci ze strony stworzeń.

Stworzenie chcąc się uświęcić, musi mieć w sobie coś ze świętości Bożej. Musi w niej uczestniczyć. Aby uczestniczyć w świętości Bożej, trzeba się z Bogiem zjednoczyć. Przez łączność z Bogiem nabieramy cech świętości. Istota świętości stworzeń zasadza się więc na zjednoczeniu z Bogiem. Głębsze zjednoczenie się wnosi do duszy większy stopień uświęcenia. Za tym idzie, że cokolwiek jednoczy się z Bogiem, ma charakter uświęcający. I naodwrót. Co rozrywa, — osłabia łączność z Bogiem, staje się przeszkodą w uświęceniu.

Biorąc pod uwagę skażenie natury ludzkiej grzechem pierworodnym oraz zanieczyszczenie jej grzechami osobistymi, zjednoczenie z Bogiem w obecnym naszym stanie jest niemożliwe bez uprzedniego oczyszczenia się. Oczyszczanie się, to usuwanie przeszkód w złączeniu z Bogiem. Jest ono niezbędne, jako warunek

świętości. Bez niego nie można o niej marzyć. Stąd w świętości należy odróżnić dwie strony: a) negatywną, czyli wolność od grzechu; b) pozytywną, zjednoczenie z Bogiem. Zjednoczeniu z Bogiem stoi na przeszkodzie wszelki grzech. Przede wszystkim zaś grzech śmiertelny, który odwraca duszę od Boga. Odwrócenie się od Boga stanowi istotę grzechu ciężkiego i zarazem jego złość moralną. Popełniający grzech śmiertelny świadomie i dobrowolnie, przedkłada dobro stworzone, np. rozkosz, pieniądze nad Boga, zakładając w tym dobru swój cel ostateczny. Przez to obranie sobie dobra stworzonego za cel najwyższy, oddala się duchowo od Boga. Równocześnie burzy porządek moralny. Na co oczywista Bóg nie może się zgodzić i na co zwyczajnie reaguje nasza natura przez wyrzuty sumienia. Wprawdzie grzeszący, nie ma może wyraźnego zamiaru zerwać z Bogiem.

Gdybyśmy zapytali grzeszącego, czy chce się od Boga odwrócić, zaprzeczyłby kategorycznie, czynem jednak mówi co innego. Przekraczając Prawo Boże, świadomie i dobrowolnie, grzesznik na miejscu Boga stawia dobro stworzone. Przez to odwraca się od Boga. Jego czyn niezgodny z przykazaniami Bożymi, wskazuje na to, że wola więcej kocha dobro skończone, niżli Boga, Dobro Najwyższe.

Grzech śmiertelny nie da się więc w żaden sposób pogodzić ze świętością. Jest on jej wprost przeciwny.

Podobnie rzecz się ma z grzechami powszednimi. One również są przeszkodą w uświęcaniu się, chociaż w mniejszej mierze niżli grzechy ciężkie. Popełniając grzechy tak zwane „lekkie" (lekkie w przeciwstawieniu do ciężkich, czyli śmiertelnych), nie zrywamy z Bogiem całkowicie. Bóg pozostaje naszym celem ostatecznym. Nie odbieramy Mu pierwszego miejsca w naszym sercu. Błądzimy jednak w wyborze środków. Obieramy takie, które nie prowadzą do celu ostatecznego. Grzesząc lekko, zbaczamy cośkolwiek z drogi wiodącej do Boga, pozostając jednak zasadniczo na drodze w kierunku Boga.

Grzechy powszednie, aczkolwiek nie odwracają nas całkowicie od Boga, utrudniają nam jednak zjednoczenie z Bogiem. Przez to przeszkadzają w nabyciu świętości.

Wolność od grzechu śmiertelnego jest warunkiem absolutnie niezbędnym do zjednoczenia z Bogiem. Wolność od grzechu powszedniego, aczkolwiek nie jest w tej mierze niezbędna, bardzo jednak ułatwia postęp w świętości.

Wolność od grzechu, to jeszcze nie świętość! To jej warunek. Jej negatywna strona.

Istota świętości zasadza się na łączności z Bogiem. Chodzi tu o świętość wewnętrzną, nadprzyrodzoną. Świętość, która do Boga zbliża i upodabnia. Tego rodzaju świętości nie możemy sami z siebie wykrzesać. Wobec nadprzyrodzoności jesteśmy zupełnie bezradni. W tej dziedzinie własnymi przyrodzonymi siłami nie możemy nic, kompletnie nic uczynić. „Beze mnie nic uczynić nie mo-

życie" (Jan 15, 5). Tu sam Bóg musi nam przyjść z pomocą, jeśli chce, byśmy się stali świętymi. Musi nam dać odpowiednią zdolność, moc, energię, z pomocą której moglibyśmy zjednoczyć się z Bogiem — przez to uczestniczyć w Jego świętości.

Takim czynnikiem, jednoczącym nas z Bogiem, jest łaska. Ona jest tym, co właściwie uświęca. Dlatego mówiąc o niej, zawsze dodajemy uświęcająca.

W świętości wniesionej do dusz przez łaskę, należy wyodrębnić dwie rzeczy: najpierw samo uświęcenie duszy, następnie uzewnętrznienie świętości wewnętrznej przez czyny cnotliwe.

Zwyczajnie, gdy jest mowa o świętości danej osoby, mamy na uwadze jej zewnętrzne objawy, świętość życia. Jeśli ktoś stale postępuje moralnie dobrze, jeśli np. jest pełen miłości dla innych, jeśli tę miłość okazuje w czynach, bez względu na osoby, okoliczności, jest to dowód, że on faktycznie ma w duszy cnotę miłości. Mając cnotę miłości, ma także i łaskę poświęcającą, z której cnota miłości wyrasta, jak gałązka z pnia. To samo należy powiedzieć i o innych czynach cnotliwych. Świętość wewnętrzna duszy jest źródłem postępowania świątobliwego. Bez tej ostatniej, świętość zewnętrzna jest niemożliwa.

Wewnętrzną świętość wnosi do duszy łaska poświęcająca. Łaska jest rzeczywistością konkretną. Jest to byt rzeczywisty. To rzeczywistość, aczkolwiek nie można jej dotknąć, ani zobaczyć czy wyczuć. Nie można jej również utożsamiać ze sympatią ze strony Boga, jak często to sobie wyobrażamy. Upodobanie w duszy w stanie łaski jest skutkiem łaski, a nie jej istotą. Łaska to uczestnictwo w naturze Boskiej. *„Przez którego (Chrystusa) największe i najkosztowniejsze obietnice nam darował, abyście się przez nie stali uczestnikami natury Boskiej"* (II Piotr 1, 4). Łaska sprawia w duszy przemianę. Wprawdzie dusza uświęcona łaską nie zlewa się z Bogiem, pozostaje nadal zwyczajnym stworzeniem, różnym od Boga, otrzymuje jednak coś Bożego. Nabiera przymiotów Bożych. Idąc za nauką Ojców Kościoła, działanie łaski w duszy można porównać z działaniem ognia na żelazo. Żelazo włożone do ognia, rozgrzewa się, staje się czerwone, gorące. Słowem, przybiera własności ognia, nie przestając być żelazem. Analogicznie rzecz się ma z duszą w stanie łaski. Łaska z jednej strony usuwa największą przeszkodę świętości, grzech, a następnie, w sposób pozytywny, łączy duszę z Bogiem.

Przez wlanie łaski, grzech zostaje z duszy usunięty, zmazany, a nie przykryty tylko, jak twierdzą protestanci. Według nauki Lutra, łaska nie zmienia od wewnątrz grzesznika. On pozostaje nadal grzesznym, Bóg tylko nie patrzy na jego grzechy. Grzesznik, który otrzymał łaskę, jest podobny do człowieka brudnego, okrywający swe brudy czystym odzieniem.

Nauka katolicka wyraźnie podkreśla rzeczywistą, wewnętrzną, oczyszczającą działalność łaski. O tej wewnętrznej przemianie

sprawionej łaską mówi prorok Ezechiel 36, 25: „*Wyleję na was wodę czystą, będziecie oczyszczeni od wszystkich nieczystości waszych i od wszystkich bałwanów waszych oczyszczę was. I dam wam serce nowe i ducha nowego położę pośrodku was, a wyjmę serce kamienne z ciała waszego i dam wam serce mięsne. A ducha mego położę w pośrodku was, a uczynię abyście w przykazaniach moich chodzili*".

Woda czysta, o której mówi prorok, oznacza łaskę poświęcającą, oczyszczającą i równocześnie wlewającą nowe życie. Łaska. dając nam uczestnictwo w naturze Bożej, nie tylko oczyszcza z grzechów, ale równocześnie łączy z Bogiem. Przez to właśnie uświęca. Zjednoczenie z Bogiem — powiedzieliśmy — stanowi istotę świętości stworzeń rozumnych. Głębsze i doskonalsze uczestnictwo w naturze Bożej, więcej i ściślej łączy z Bogiem. Za tym idzie większa świętość.

Łaska nie tylko oczyszcza duszę z grzechu, ale równocześnie wnosi zdolność do życia nadprzyrodzonego. Łaska jest uczestnictwem w naturze Bożej, czyli w tym, co jest podstawą czynności właściwych Bogu. Czynności stosują się do natury istoty działającej. Inne czynności są właściwe zwierzęciu, inne człowiekowi, inne aniołom, a inne Bogu. Bo innego gatunku są ich natury. Myślenie np. jest właściwe człowiekowi, jako istocie rozumnej. Zwierzę, posiadające naturę niższą od człowieka, nie jest zdolne do czynności właściwych ludziom. Człowiek oraz anioł również nie mogą zdobyć się na czynności właściwe naturze Boskiej. Takimi zaś są, poznawanie samego siebie bezpośrednio oraz miłość siebie. dla swej wewnętrznej dobroci, wreszcie czynność stwórcza. Poznanie i miłość stanowią wewnętrzne życie Boga. Są konieczne w Bogu. Poznawać siebie bezpośrednio i miłować się dla swej wewnętrznej dobroci może tylko Bóg. Są to czynności przewyższające uzdolnienia jakiegokolwiek stworzenia, nie tylko faktycznie istniejącego, ale także stworzeń możliwych.

Dopiero łaska uzdalnia do tego rodzaju czynności. Przebóstwiając wewnętrznie duszę, zaszczepia w niej zdolności do tego rodzaju czynności. A więc do poznania i miłowania na sposób Boży. Przebóstwiając wewnętrznie duszę, łaska wnosi do niej jakoby nową naturę, naturę mającą coś z natury Bożej. Równocześnie wnosi nowe i nadprzyrodzone siły. Natura działa nie bezpośrednio, ale przez władze. Natura ludzka przez rozum, wolę oraz władze uczuciowe. Coś podobnego jest z łaską. Z niej, jakby z nowej nadprzyrodzonej natury, wyłaniają się władze do niej dostosowane. Są to cnoty wlane oraz dary Ducha św.

Łaska łącznie z cnotami wlanymi oraz darami Ducha św. stanowi organizm nadprzyrodzony, uzdalniający i usprawniający do czynności cnotliwych i nadprzyrodzonych, dostosowanych do doskonałości wniesionej przez łaskę. Dzięki łasce i cnotom wlanym możemy postępować nie tylko jako ludzie uczciwi, kierujący się tylko przyrodzonym rozumem, ale jako istoty, mające w sobie pierwiastek Boży. Jako dzieci Boże. Organizm nadprzyrodzony jest

nam dany po to, byśmy przy jego pomocy żyli życiem Bożym. By nasze życie wewnętrzne było odbiciem i uczestnictwem w wewnętrznym życiu Boga.

Pośród cnót, towarzyszących łasce i z niej się wyłaniających, na pierwszy plan wysuwają się cnoty boskie: wiara, nadzieja i miłość. Nazywamy je boskimi, ponieważ przedmiotem ich jest sam Bóg. Bóg-Prawda, przedmiotem wiary; Bóg-Szczęście nasze, nadziei; Bóg-Dobroć, przedmiotem miłości. Zadaniem ich jest, ustosunkować nas należycie do Boga i zjednoczyć nas z Nim. Na nich zasadza się życie chrześcijańskie i świętość. Cnota miłości jest najważniejsza. *„Teraz trwają wiara, nadzieja i miłość to troje, ale z tych największa jest miłość"*. (I Kor. 13, 13). Ona bowiem najściślej jednoczy nas z Bogiem.

Nadto, razem z łaską wlewa nam Pan Bóg cnoty moralne, zgrupowane około czterech cnót zwanych kardynalnymi: około roztropności, sprawiedliwości, umiarkowania i męstwa.

Cnocie roztropności przypada w udziale rola kierownicza w życiu moralnym. Jest to według powiedzenia starożytnych „auriga virtutum". Ona praktycznie uzgadnia wszystkie czynności ludzkie z prawem Bożym, wprowadzając do nich umiar.

Cnota sprawiedliwości łącznie z całym szeregiem innych cnót, około niej zgrupowanych, reguluje nasz stosunek do Boga, do bliźnich i całego społeczeństwa. Usprawnia wolę, by była gotowa oddać każdemu, co się mu od nas należy, a więc „co jest Boskiego — Bogu, a co jest cesarskiego — cesarzowi".

Umiarkowanie i męstwo razem z towarzyszkami, pozwalają nam ująć w karby wszystkie skłonności w nas będące i podporządkować je nakazom prawa, by nas nie odciągały od dobrego ani nie popychały do zła.

Wreszcie oprócz cnót, otrzymujemy razem z łaską siedem innych sprawności, zwanych darami Ducha św., które czynią nas podatnymi i wrażliwymi na głos natchnień, jakimi Pan Bóg często do nas przemawia.

Ów organizm nadprzyrodzony, złożony z łaski poświęcającej, cnót i darów Ducha św. uświęca duszę. Jest to nowa nadprzyrodzona, Boża energia.

Wewnętrzna świętość, wniesiona do duszy przez łaskę, jest niezbędna do zbawienia. Ona będzie decydować o naszej wieczności. Tylko te dusze będą mogły z Bogiem się jednoczyć i oglądać Go „twarzą w twarz", które będą ją miały w momencie śmierci.

Łaska łącznie z cnotami i darami jest siłą żywotną. Jej przeznaczeniem, to działalność i rozwijanie się. Jest to bowiem zapoczątkowanie życia wiekuistego „inchoatio vitae aeternae", jakie kiedyś mamy prowadzić w wieczności w całej pełni, oglądając Boga bezpośrednio i kochając Go. *„Teraz widzimy przez zwierciadło w zagadce, lecz w on czas, twarzą w twarz"*. (I Kor. 13, 12).

Uświęceni łaską, możemy już tu na ziemi, prowadzić w zaczątkach życie Boże. Głównie przez cnoty Boskie, wiarę, nadzieję

i miłość. Możemy i powinniśmy je w sobie rozwijać i pogłębiać. Jest to nasz zasadniczy obowiązek.

Na rozwoju łaski zasadza się postęp w świętości. Postępować w świętości i doskonałości chrześcijańskiej znaczy to samo, co rozwijać łaskę i towarzyszące jej cnoty wlane wraz z darami Ducha św.

Wewnętrzny rozwój łaski, aczkolwiek niewidoczny dla naszego oka, objawia się jednak na zewnątrz w uczynkach cnotliwych. „Z owoców ich poznacie je".

W tej zewnętrznej stronie, świętość może przybrać różne formy. Tu widzimy wielką rozmaitość. Nie ma dwóch świętych całkowicie do siebie podobnych. Świętość zewnętrzna, objawiająca się w życiu, jest wyrażeniem wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem przez łaskę i cnoty wlane. Każdy ze świętych jest w istocie swej duszy przebóstwiony łaską oraz cnotami w swych władzach. A więc ma wiarę, nadzieję, miłość, cnoty moralne, dary Ducha św. Im jest świętszy, tym w większej mierze te dary posiada. Pod tym względem święci się nie różnią. Różnica zachodzi przy działalności zewnętrznej. Każdy z nich inaczej objawia swą wiarę, nadzieję i miłość, oraz cnoty moralne. Zależy to z jednej strony od usposobienia naturalnego, temperamentu, a następnie od warunków i okoliczności, w jakich święty się znajduje. Łaska ma to w sobie, że udoskonalając, uszlachetniając i wynosząc na poziom nadprzyrodzony naturę ludzką, nie tylko nie zmienia jej w tym, co w niej jest naturalnego, ale stosuje się do niej. Ponieważ łaska i cnoty wlane, tkwią jako w podmiocie, w istocie duszy oraz w jej władzach, dlatego w swym działaniu są zależne od jej cech indywidualnych. Osoba, praktykująca cnoty, narzuca im swoje właściwości indywidualne, swój sposób działania, tak, że ten sam akt cnoty np. akt wiary, miłości, religii, męstwa, inaczej będzie wyglądał u osoby młodej a inaczej u starca; inaczej u mężczyzny niż u niewiasty, inaczej u człowieka o temperamencie flegmatycznym a inaczej u sangwinika. Kto miał sposobność np. przyglądać się pobożności Włochów, pełnej hałasu, krzyku, ruchliwości, w pierwszej chwili był zapewne conajmniej zdziwiony, jeśli nie zgorszony. To, co u nas byłoby uważane za niewłaściwe, u ludzi południa jest na miejscu. Tłumaczy się to różnicą temperamentu. Inaczej objawia swą wewnętrzną religijność południowiec a inaczej człowiek ze stron północnych.

Dalsza przyczyna różniczkująca świętych, to warunki zewnętrzne: otoczenie, zajęcia, warunki społeczne, tradycje i zwyczaje narodowe.

Weźmy pod uwagę np. cnotę miłości bliźniego. W inny sposób będzie ją praktykował człowiek zamożny, a inaczej ubogi, inaczej wobec wrogów aniżeli wobec przyjaciół. To samo będzie z każdą inną cnotą. U niektórych osób zaistnieją takie warunki, że wcale nie będą miały możności praktykować pewnych cnót. Będą

jednak wewnętrznie tak nastawione, że gdyby zaistniała możliwość, od razu zdobyłyby się na czyny cnotliwe.

Świętość właściwa, leży więc w głębi duszy. Z niej, jakby z korzenia, wyrastają dopiero czynności moralne dobre. Wewnętrzna świętość czyni człowieka dobrym drzewem, rodzącym dobre owoce. Dlatego ją przede wszystkim winniśmy mieć na oku. Ona ma być przedmiotem naszych trosk i zabiegów. Pod tym względem nie ma i nie może być różnicy między nami a ludźmi ubiegłych wieków. Tak oni jak my, jeśli chcemy zostać świętymi, musimy zacząć pracę od wewnątrz. Musimy zjednoczyć się z Bogiem przez łaskę i cnoty.

Różnica dopiero ujawni się w promieniowaniu świętości nazewnątrz, bo warunki czasów, okoliczności życia są odmienne od tamtych. Nie byłby to np. akt roztropny, gdyby dzisiaj apostoł szedł kilkanaście mil piechotą. Przy obecnych środkach komunikacji, wędrówka kilkudniowa piechotą, byłaby stratą czasu i sił.

Biorąc pod uwagę zewnętrzne objawy świętości, można mówić o jej nowoczesności. Natomiast właściwa wewnętrzna świętość, zasadzająca się na zjednoczeniu z Bogiem, jest zawsze ta sama, dla wszystkich czasów i krajów jest nowoczesna.

Wyrażenie „święty nowoczesny" można brać jeszcze w innym sensie. — Istnieje u wielu osób podświadome przekonanie, że tylko niektóre jednostki powołane są do świętości. Ogół chce zadowolnić się przeciętnym stanem duchowym, takim, któryby pozwolił im uniknąć potępienia. I zwyczajnie świętość kojarzy się ze suknią duchowną. Słyszy się powiedzenia „że do świętości winni dążyć zakonnicy, księża itp. nie my, z konieczności zajęci sprawami tego świata". Ma to pewne uzasadnienie w tym, że znaczna większość świętych wyniesionych na ołtarze (wyjąwszy pierwsze wieki) to zakonnice i zakonnicy. Fakt ów, mówi nam tylko, że prędzej i łatwiej można się uświęcić, idąc drogą rad ewangelicznych. Nie wolno nam jednak z tego wnioskować, że nie wszyscy powołani są do świętości. Świętość obowiązuje wszystkich, bo wszyscy powołani są do oglądania Boga w wieczności. Tu nie ma żadnych wyjątków. Dlatego w każdym wieku, w każdym kraju, w każdym czasie, zawodzie, winni być święci. Gdy Piusowi XI doniesiono o wyjątkowej świątobliwości jednego z profesorów uniwersytetu, wyraził swą wielką radość, że będzie mógł kanonizować „świętego we fraku", gdy dotychczas wynosił na ołtarze świętych i święte w habitach.

Święty „we fraku" oto święty „nowoczesny". Nowoczesny nie w tym znaczeniu, jakoby człowiek świecki dopiero w obecnych czasach mógł się wznieść do świętości heroicznej, ale w tym sensie, że dotychczas nie mieliśmy takiego. To wyrażenie, przypomina nam też, że wszystkie stany, zawody, klasy społeczne mają jeden i ten sam cel ostateczny, mianowicie Boga, do którego każdy ma dążyć, uświęcając się przez pracę w swoim zawodzie, przy swoim warsztacie.



Pieśń o Bogu ukrytym

II

Bo jesteś samą ciszą, wielkim milczeniem...

9.
Zwolna słowom odbieram blask,
spędzam myśli jak gromadę cieni,
– zwolna wszystko napełniam nicością,
która czeka na dzień stworzenia.

To dlatego, by stworzyć przestrzeń
dla wyciągniętych Twych rąk,
to dlatego, by przybliżyć wieczność,
w którąbyś tchnął.

Nienasycony jednym dniem stworzenia,
coraz większej pożądam nicości,
aby serce nakłonić do tchnienia
Twojej miłości.

10.
Za tę chwilę pełną śmierci dziwnej,
która w wieczność niezmierną odpływa,
za dotknięcie dalekiego żaru,
w którym ogród głęboki omdlewa.

Zmieszały się chwila i wieczność,
kropla morza objęła –
Opada cisza słoneczna
w głębinę tego zalewu.
Czyż życie jest falą podziwu, falą wyższą niż śmierć?
Dno ciszy, zatoka zalewu – samotna ludzka pierś.

Stamtąd żeglując w niebo,
kiedy wychylisz się z łodzi,
— miesza się szczebiot dziecięcy
— i podziw.

11.

Uwielbiam cię siano wonne, bo nie znajduję w tobie
dumy dojrzałych kłosów,
Uwielbiam cię siano wonne, któreś tuliło w sobie
Dziecinę bosą.

Uwielbiam cię drzewo surowe, bo nie znajduję skargi
w twoich opadłych liściach.
Uwielbiam cię drzewo surowe, boś kryło Jego barki
w krwawych okiściach.

Uwielbiam cię blade światło pszennego chleba,
w którym wieczność na chwilę zamieszka,
podpływając do naszego brzegu
tajemną ścieżką.

12.

Aż dotąd doszedł Bóg i zatrzymał się krok od nicości,
tak blisko naszych oczu.
Zdawało się sercom otwartym. zdawało się sercom prostym,
że zniknął w cieniu kłosów.

A kiedy uczniowie łaknący łuskali ziarna pszenicy,
jeszcze głębiej zanurzył się w łan.
— Uczcie się proszę, najmilsi, tego ukrycia.
Ja, gdzie ukryłem się, trwam.

Powiedzcie kłosy wy młode, czy wy nie wiecie,
gdzie się zataił ?
Gdzie Go szukać — kłosy powiedzcie,
gdzie Go szukać w tym urodzaju ?

13.

Bóg spoczywał w sercu i wszechświat,
lecz wszechświat gasł.
zwolna stawał się Rozumu Jego pieśnią,
najniższą z gwiazd.

Opowiadam wam zdziwienie wielkie, helleńscy mistrze:
nie warto czuwać nad bytem, który wymyka się z rąk,
jest Piękno rzeczywistsze,
utajone pod żywą Krwią.

Cząstka Chleba rzeczywistsza niż wszechświat.
pełniejsza bytu i Słowa
— pieśń jak morze zalewająca
— odmęt słońca
— wygnanie Boga.

14.
Synu, kiedy odejdziesz, wzbierająca głębio odwieczna,
w której wszystko ujrzałem —
Ojcze, miłość oznacza konieczność,
wzbieranie chwałę.

Synu, spójrz, niedalekie od Twojej jasności
jest kłosów dojrzałe pęcznienie —
Przyjdzie dzień, gdy odejmą Ci blask,
kiedy jasność Twą wydam ziemi.

Ojcze, spójrz, niedalekie od mojej miłości
jest me spojrzenie,
którym ogarniam odwiecznie
ten dzień wzbierającej zieleni.

Ręce Twoje odejmą z mych ramion —
Synu, widzisz to unicestwienie,
Twój blask, kiedy przyjdzie dzień
wydam kłosom pęczniejącej ziemi.

Ojcze, ręce odjęte z Twych ramion
spoję z drzewem odartym z zieleni,
bladym światłem pszenicznym nasycę
ten blask, który w kłosy zamienię.

Synu, kiedy odejdziesz, Miłość odwieczna,
któż ogarnie Cię nurtem najbliższym?

Ojcze, upuszczam Twoje wejrzenie, wzbierające zalewem słonecznym,
obieram oczy ludzkie —
obieram oczy ludzkie, zalane światłem pszenicznym.

15.
Stać tak przed Tobą i patrzeć tymi oczyma,
w których zbiegają się drogi gwiazd, —
O oczy nieświadome Tego, Kto w was przebywa,
Odejmując Sobie i gwiazdom niezmierny blask.

Więc wiedzieć jeszcze mniej, a jeszcze więcej wierzyć.
Powieki powoli zamykać przed światłem pełnym drżeń,
potem wzrokiem odepchnąć przypływ gwieździstych wybrzeży,
nad którymi zawisa dzień.

Boże bliski, przemień zamknięte oczy
w oczy szeroko otwarte
i nikły podmuch duszy drgający w szczelinach róż
otocz ogromnym wiatrem.

16.

Często myślę w tym dniu widzenia,
który pełen będzie zdziwienia
nad tą Prostotą,
w której świat jest ujęty,
w której przebywa nietknięty
aż dotąd
i dalej niż dotąd.

A kiedy konieczność prosta coraz większą się staje tęsknotą
za owym dniem,
który wszystko obejmie taką niezmierną Prostotą,
miłosnym tchem.

17.

Zabierz mnie Mistrzu do Efrem, i pozwól tam z sobą pozostać,
gdzie ciszy dalekie wybrzeża opadają na skrzydłach ptaków,
jak zieleń, jak fala bujna niezmącona dotknięciem wiosła,
jak koło szerokie na wodzie niespłoszone cieniem przestrachu

Dzięki, żeś miejsce duszy tak daleko odsunął od zgiełku
i w nim przebywasz przyjaźnie otoczony dziwnym ubóstwem.
Niezmierny, ledwo celkę zajmujesz maleńką,
kochasz miejsca bezludne i puste.

Bo jesteś samą ciszą, wielkim Milczeniem,
uwolnij mnie już od głosu,
a przejmij tylko dreszczem Twojego Istnienia,
dreszczem wiatru w dojrzałych kłosach.



„Moja pieśń nad pieśniami..."

Miłemu śpiewać chcę Kantyk miłosny:
to chyba nic, że przeminęła wiosna,
to chyba nic, że maj jest tak daleko
i śpiewne ptaki za morze już uciekły?
Miłość na maj nie czeka!
- - - - - - - - - - -
Miłemu memu zaśpiewam pieśń wrześniową:
jesiennych liści żar przeleję w słowa...
jesiennych liści smęt — tęsknotę krwawą,
bogactwo, które kona w pysznych barwach...
- - - - - - - - - - -
Bogactwo, które kona...
- - - - - - - - - - -
Wsnuję w mą pieśń pajęczych srebro nici:
z słotnego dnia rozpłakanego oblicza
pozbieram perły łez zmętniałe bólem —
czy takiej pieśni chcesz, Miły mój, Królu?
- - - - - - - - - - -
Czy takiej pieśni chcesz?...
- - - - - - - - - - -
O, Miły mój, Ty inne masz klejnoty
niż perły dżdżu, jesiennych liści złoto...
Ty inną pieśń splatasz na dzień zrękowin...
Ty mi ją dasz — lecz cóż Ci ja odpowiem?
- - - - - - - - - - -
Gdy mi ją dasz?...
- - - - - - - - - - -
Za rękę wwiodłeś mnię w ogród weselny:
wszystkim, co masz, tu ze mną się podzielisz.
Ach! — znam... Twój »sad« — oliwne, stare drzewa!
Tu, Miły mój, Ty mi swą pieśń zaśpiewasz...
- - - - - - - - - - -
Kantyk miłosny!...
- - - - - - - - - - -
Ze skroni Swej szkarłatneś zdjął rubiny
wkładasz mi je — lecz blask ich gdzieś zaginał!
O, Miły, patrz! — to tylko plamy rdzawe?...
a diadem Twój — zakrzepłe krople krwawe
- - - - - - - - - - -
na cierniach...
- - - - - - - - - - -
Dajesz mi puhar swój, po brzegi pełny:
»pij ze mną, Miła, — pij — haszysz weselny«!
Dlaczego drżę jak liść od nagłej trwogi?
I jaki dziwny wstręt — ach, nie! — nie mogę!
- - - - - - - - - - -
Nie każ mi pić!...
- - - - - - - - - - -

Księżyca sierp na niebie się zabielił,
»pij ze mną, Miła, pij — wino weselne!«
»O, Miły, — widzisz? — drżę — serce mi pęka...
Czy wino dajesz mi? — czy kielich męki?«
- - - - - - - - - - -
»Pij, Miła, nektar weselny!«
- - - - - - - - - - -
Ten puhar, Miły mój, o ziemię ciśnij!
W tysiące drobnych drzazg niech się rozpryśnie —
w tysiące bryzgów tej trucizny pianę
z kryształem czary roztrzaskaj o kamień!...
- - - - - - - - - - -
Ja nie chcę cierpieć!...
- - - - - - - - - - -
»Nie chcesz cierpieć? więc przyszłaś nadaremno?
...Kto kielich mój wychyli ze mną?...«
Zasłaniasz twarz... ściemniały smutkiem oczy,
kropelek sznur po czole Ci się toczy...
- - - - - - - - - - -
Co to?... pot?... Krew...?
—.....--?
»... O, Miły mój, posłuchaj!... a serce pęka...
Czy musisz pić...? — więc dzielmy razem mękę!
Lecz powiedz, kto wszystkie piołuny świata
i wszystek ból do czary Twej nazmiatał?
- - - - - - - - - - -
Powiedz mi, kto?
- - - - - - - - - - -
...Biorę z rąk Twoich kryształ krwią oblepły
— goryczy jad i krew na wargach skrzepły —
gorycz i krew do duszy mi przywiera
»O, Miły mój — ja chyba już umieram!...
- - - - - - - - - - -
Lecz jeśli chcesz?...«
- - - - - - - - - - -
Miłego twarz staje się znów świetlista
i oczu toń, jak brzask poranka, czysty
słoneczny krąg rozlewa się jak morze
— to uśmiech Twój! — promienną wykwitł zorzą!
- - - - - - - - - - -
To uśmiech Twój!
- - - - - - - - - - -
I nagle — cud?! — dusza się ma rozszerza —
O, Miły mój — już mi niczego nie żal!
O, Miły, daj — wychylę kielich do dna —
nad wszystkom jest uśmiechu Twego żądna!
- - - - - - - - - - -
Daj mi pić, pragnę!...

S. N. — 1945 r.

U progu modlitwy

Słowo „modlitwa" ma w ustach ludzi bardzo różny posmak. Zrzadka tylko się trafia, że wypowiada się je z lekceważeniem czy szyderstwem. Na ogół bywa wymawiane z odcieniem pewnego szacunku, należnego sprawie nader ważnej, czynności cennej i czcigodnej. Rzecz dziwna, że takim odcieniem zabarwiają to słowo nawet ludzie, którzy sami się nie modlą, lub co więcej, uważają się za niewiernych.

W takim traktowaniu rzeczy kryje się poczucie, że człowiek który się modli, zasługuje na szacunek, gdyż wchodzi w kontakt z światem wyższym. Sama zresztą zawartość słowa „modlitwa" przedstawia się bardzo różnie. — Najpowszechniej w pojęciu modlitwy podkreśla się charakter prośby, skierowanej do Istoty Najwyższej. Prócz tego wysuwa się także na pierwszy plan wznoszenie się duszy ludzkiej do Boga, zetknięcie z Nim. — Modlitwa jest obcowaniem człowieka z Bogiem.

Epoka dzisiejsza nie przedstawia korzystnego podłoża dla rozwoju modlitwy. Składa się na to sporo przyczyn, zewnętrznych i wewnętrznych: słabość wiary, płytkość życia umysłowego i wstręt do duchowego wysiłku oraz zawrotne tempo życia, daleko idące zróżniczkowanie jego form, pochłaniające nadmiernie czas i energię jednostki ludzkiej.

A jednak mimo tych niesprzyjających okoliczności począł się zaznaczać u współczesnego człowieka zwrot ku zagadnieniom życia wewnętrznego, zwłaszcza modlitwy. Zastanawiając się bowiem nad sobą, człowiek doszedł do wniosku, iż jest sam dla siebie istotą nieznaną [1]), nie potrafi pojąć tajemnic, które kryje świat jego duszy, nie rozumie sekretu tych sił, które rządzą jego życiem. Jednostki głębiej myślące poczęły odczuwać potrzebę modlitwy, interesować się światem duszy ludzkiej.

W obliczu próby.

Nowe dążenia, nurtujące duchowość współczesną, nie zdołały jeszcze przetworzyć jej oblicza, gdy rozpętała się, oddawna nadciągająca, burza dziejowa. Coraz większa rozbieżność między doczesnymi a wiecznymi celami ludzkości, zniweczywszy oddawna harmonię życia, wzmagała stale swoje napięcie. Aczkolwiek negowano prawdę tkwiącą w chrześcijaństwie, jednak ludzkość żyła jeszcze jej dorobkiem. Tam zaś, gdzie usiłowano tę prawdę doszczętnie wykorzenić, tam pozostawał już tylko zamęt duchowy i moralny: „bellum omnium contra omnes". Człowiek stanął bezradny wobec lawiny zła, która niweczyła niezliczone mnóstwo istnień

[1]) A. Carrel — „Człowiek istota nieznana".

ludzkich, deptała podstawowe zasady sprawiedliwości i porywała w przepaść zniszczenia najcenniejszy dorobek duchowy i materialny całych stuleci.

Takie chwile dają probierz moralnej wartości człowieka i sprawdzian jego przekonań. Odkrywają się w duszy ludzkiej dziedziny, których istnienia nie podejrzewano. Częstokroć ludzie uważani za niewierzących, w podobnych momentach odnajdowali drogę dawno zapomnianą: do Boga, do modlitwy. I nie wystarcza dla wyjaśnienia tego zjawiska fakt lęku przed śmiercią. Raczej świadczy ono, że posiew wiary, chociaż przygłuszony, tkwi w duszy ludzkiej głęboko. Bliskość śmierci stawia człowieka w obliczu prawdy. Wtedy ziarno wiary, przebija skorupę bezmyślności, przyzwyczajeń i zakłamań, którymi niejednokrotnie przez długie lata karmiła się dusza ludzka.

Czy nie świadczy też o istnieniu ukrytego, ale przecież kiełkującego ziarna wiary owo spojrzenie, łączące w sobie podziw z zazdrością, jakie człowiek niewierzący zwraca na tych, którzy się modlą? Kto się nie modli, ostatecznie prędzej czy później uczuje się pozbawionym punktu oparcia i stanie bezsilny wobec otaczającej go rzeczywistości, nie mogąc sprostać jej wymaganiom. Modlitwa jest istotną potrzebą duszy ludzkiej, zwłaszcza w takich chwilach. gdy głębiej poznaje własną niewystarczalność, bezradność, gdy dochodzi do granic swoich, gdy styka się z tym, co ją przewyższa. Doświadczalne poznanie własnych braków doprowadza człowieka do progu modlitwy. Bowiem w jej psychologicznym procesie poczucia własnej niedostateczności tworzy pierwsze ogniwo. Wobec moralnego rozbicia ludzkości ujrzał kruchość tych środków, których dostarcza mu doczesność, ujrzał różnicę między wartościami przemijającymi a wiecznymi i goręcej zapragnął tego, co trwa. Aczkolwiek nie wojna dopiero stworzyła zwrot ku życiu wewnętrznemu, ale wojna niewątpliwie wypłynęła bardzo znacznie na jego pogłębienie.

Jak znaleźć Boga?

Człowiek nie tylko dlatego ucieka się do modlitwy, aby otrzymać pomoc Bożą. Pragnie też przez modlitwę zbliżyć się do Boga, nawiązując z Nim kontakt. Chce zobaczyć i pojąć tę rzeczywistość Najwyższą, w której znajdzie wyjaśnienie wszystkiego, co istnieje. „*Quid enim fortius desiderat anima, quam Veritatem*"? (Św. Augustyn). Pragnie przez poznanie Stwórcy odcyfrować tajemnicę rzeczy stworzonych, odgadnąć sens życia i zdarzeń. Wśród złudzeń i przemijania pragnie zdobyć pewność. Pragnie ujrzeć Boga dotknąć, objąć, odczuć. Pragnie Go dosięgnąć w sposób niezawodny i obiektywny.

Szuka tej pewności wszędzie. W irracjonalnym pierwiastku intuicji, w bezpośrednim przeżyciu religijnym, w konstruowaniu sy-

stemów religijnych, w stworzeniu różnych bóstw i bożków — stawiając owoce swoich poszukiwań jako normy stosunku swego do Boga. Niekiedy dochodzi aż do zwątpienia: jeśli środek każdy musi być proporcjonalny do swego celu, to jakimiż środkami człowiek, istota skończona, zdoła ująć Rzeczywistość nieskończoną, najwyższą, przedrzeć się do tej „światłości nieprzystępnej, w której Bóg mieszka"? [2]).

By umysł mógł dojść na ziemi do zjednoczenia z Bogiem, musi znaleść taki środek, który z Nim łączy i ma z Nim bliskie podobieństwo. Wszystko jednak, co wyobraźnia może przedstawić a umysł przyjąć i pojąć w tym życiu, nie jest ani nie może być bezpośrednim środkiem do zjednoczenia z Bogiem, jako niewspółmierne z Nim. On bowiem jest nieskończony, przeto żadne obrazy czy formy skończone nie zdołają Go objąć. Gdzież więc znajdziemy taki środek, aby Boga dosięgnąć, objąć Go i uchwycić w modlitwie i z Nim się zjednoczyć?

Taki środek istnieje. — Jest nim wiara.

Wiara jest uczestnictwem człowieczego umysłu w Prawdzie Bożej. Jest przekonaniem o istnieniu rzeczy niewidzialnych, które Bóg ludzkości objawił. Aby to przekonanie powstało, potrzeba dwu czynników: Bożego działania oraz współdziałania człowieka. Akt wiary jest aktem dobrowolnym, wola skłania umysł, aby uznał prawdę objawioną przez Boga.

Wiara, opierając się na autorytecie Boga, daje duszy ludzkiej najwyższą pewność. Człowieka, zagrzęzłego w obiektywiźmie, błądzącego w poszukiwaniu za Bogiem bezradnie po peryferiach mniemań, uczuć i doznań, udarowuje wyzwoleniem. Daje mu bowiem prostą a wiecznie żyjącą Prawdę, to jest Boga, mówi mu o życiu, które trwa wiecznie i co więcej, ona zapoczątkowuje posiadanie tego życia wiecznego. Uczy, aby ponad światłem zmysłów wyżej stawiał świadectwo Boże o świecie niewidzialnym. O n a j e s t u c z e s t n i c t w e m w ś w i e t l e B o ż y m, d z i ę k i n i e j c z ł o w i e k w i d z i i p o z n a j e w s z y s t k o w t a k i s p o s ó b, w j a k i w i d z i i p o z n a j e B ó g. Wiara stawia umysł ludzki w bezpośredniej styczności z Bogiem. Stanowi dla naszego umysłu jedyny środek proporcjonalny do Bożej nieskończoności.

Warunki doczesnego bytowania sprawiają jednak, że wiara nie może nam użyczyć na ziemi całkowitego poznania. Raczej przedstawia swoje prawdy jedynie w zarysie, którego pełne wykończenie ujrzymy w życiu przyszłym.

Dlatego, jak zauważa św. Jan od Krzyża, poznanie, które daje wiara, jest poznaniem pewnym, lecz ciemnym. Rozum nie zdoła teraz przeniknąć prawd, które dobrowolnie przyjmuje przez wiarę — Święty Doktor Kościoła tłumaczy, jak trzeba rozumieć tę ciemność wiary. Wiara jest stanem ciemnym, gdyż „do wierzenia

---

[2]) I. Tym. VI, 16

podaje prawdy objawione przez samego Boga, które są ponad wszelkie światło przyrodzone i przekraczają bezwzględnie wszelkie poznanie człowiecze. Stąd dla duszy światło owo nadmierne, które wynika z wiary, głęboką jest ciemnością, ponieważ unicestwia je raczej i zwycięża. Jak światło słońca pozbawia nas innych jakichkolwiek świateł, tak iż niewidocznymi się stają gdy świeci, i przezwycięża naszą władzę widzenia, tak że raczej oślepia i pozbawia ją wzroku, niżli go daje, w tym samym stopniu, w jakim światło słońca przewyższa władzę widzenia; podobnie światło wiary dla swej ogromnej wyższości przytłacza i zaćmiewa nasz umysł" [3]).

Ta ciemność wiary nie stanowi zresztą jakiegoś upośledzenia dla ludzkiego umysłu, zdolnego przecież docierać do prawdy, nie poniża go. Jest stanem przejściowym i rozwinie się kiedyś w pełne światło („lumen gloriae"). Wiara nie sprzeciwia się rozumowi, ale go całkowicie przewyższa i dlatego w obecnym życiu nie daje mu całkowitego zadowolenia. Mimo to, dzięki pewności, której nam udziela, wiara stanowi dla nas poznanie najwyższe, najcenniejsze. „Przez ten jedynie środek Bóg ukazuje się duszy w świetle Bożym, które wszelkie przewyższa pojęcie. Dlatego im więcej dusza ma wiary, tym ściślej jednoczy się z Bogiem" [4]).

Dla życia modlitwy wiara oznacza pierwszy i podstawowy warunek. „Przystępującemu do Boga potrzeba wierzyć, iż jest" [5]). Jeżeli istota modlitwy polega na wznoszeniu się duszy ludzkiej do Boga, to wiara stanowi dla tego pochodu konieczny punkt wyjścia i przez cały czas nierozdzielnie mu towarzyszy. Modlitwa karmi się prawdą, którą wiara jej ukazuje. Stąd między modlitwą a wiarą zachodzi najściślejsza zależność. Lecz u progu modlitwy wiara ma jeszcze jedno szczególniejsze zadanie do spełnienia.

Obecność Boga żywego.

Wiara daje poznanie nadzmysłowe, poznanie w zarysie, które dopiero w wieczności stanie się poznaniem doskonałym. Tymczasem zaś człowieka, tę istotę napoły materialną, olśniewa świat zewnętrzny. Ujmuje go powab rzeczy stworzonych, piękno rozlane w naturze przykuwa go i więzi. Lgnie do stworzeń, urzeczony ich tajemnym czarem i wreszcie przy nich się zatrzymuje. Stworzenia przesłoniły mu widok Stworzyciela „Fascinatio enim nugacitatis obscurat bona" [6]). Sadowi się w doczesności tak wygodnie, że ostatecznie ona wydaje mu się najbardziej rzeczywista! Świat nadprzyrodzony usuwa się w cień.

I tutaj wiara użycza swojej pomocy. Wyzwala duszę z fascynacji stworzeń, ukazując Stwórcę działającego poza ich zasłoną. Byt stworzeń i ich piękno są właściwościami użyczonymi im przez Boga, przez Niego powodowanymi. Cały ogromny zespół istot stwo-

[3]) Wnijście na Górę Karmelu — Ks. II, rozdz. II

[4]) Tamże. [5]) Żyd. XI 6. [6]) Ks. mądr. IV.

rzonych, wypełniających wszechświat, nosi na sobie pieczęć Stwórzyciela, stanowi ucieleśnienie Jego Myśli. Nie dosyć na tym. Świat widzialny jest terenem bezustannego ukrytego działania Bożej wszechmocy. Gdyby ta niewidzialna przepotężna Wola, która „dzierży wszystko słowem mocy swojej“, przestała działać chociaż na chwilę, świat natychmiast obróciłby się w nicość, z której ongi wyprowadziło go twórcze **fiat**. Niewidzialna wciąż działająca wola Boga jest faktem nieskończenie bardziej rzeczywistym, niżeli „pożyczony“ byt i życie stworzeń. „W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy“ [1]).

W taki sposób wiara stawia duszę w obecności Boga żywego. Wówczas wszystkie stworzenia dają o Bogu świadectwo, wszystkie na swój sposób mówią człowiekowi o Bogu. Ale wiara ukazuje człowiekowi Boga jeszcze bliższym. Prócz tej wszechobecności, która sprawia, że Bóg w sposób jak najbardziej wewnętrzny i duchowy przebywa we wszystkich stworzeniach, podtrzymując ich byt, sprawiedliwi cieszą się jeszcze szczególnym rodzajem Bożej obecności. Bóg mieszka w nich jako przedmiot poznania i miłości. Za pomocą działania rozumu i woli mogą dosięgnąć Boga w nich obecnego i objąć Go w posiadanie p r z e z w i a r ę i m i ł o ś ć. „Czy mały to będzie sądzicie dla duszy roztargnionej pożytek“ — mówi św. Teresa od Jezusa [2]) — „gdy zrozumie tę prawdę i przekona się, że na to, aby mogła rozmawiać z Boskim Ojcem swoim i cieszyć się obecnością Jego, nie ma potrzeby wzlatywać aż do niebios ani modlić się głośno? On bowiem tak blisko jest, że i bez głosu ją usłyszy; nie potrzeba jej skrzydeł, aby latała, szukając Go, ale dość jej udać się na samotność i patrzeć i oglądać Go obecnego we własnym jej wnętrzu. I nie oddalając się od tego Gościa tak drogiego, z pokorą najgłębszą mówić do Niego jak do Ojca, prosić Go jak Ojca i cieszyć się Nim jak Ojcem, czując i uznając siebie niegodną zwać się córką Jego“. W taki sposób Mistrzowie życia duchowego, pragnąc przekazać nam sekret modlitwy, kładą jak największy nacisk na Obecność Bożą w praktyce życia wewnętrznego.

I nic słuszniejszego nad to. Modlitwa bowiem jest obcowaniem, rozmową, a jakże potrafimy obcować i rozmawiać z kimś nieobecnym? Rozmowę taką z konieczności odczuwałoby się jako fikcyjną i wskutek tego mniej lub więcej nieszczerą. Wiara musi wprowadzić człowieka w kontakt z Bogiem żywym i bliskim. Gdzie tego kontaktu brak, tam modlitwa zawiśnie w próżni, gdzie on się nawiązuje, tam bujnie rozkwita życie modlitwy.

Do światła!

Współczesność dzisiejsza wśród zamętu pojęć idei i dążeń sygnalizuje wszystkimi głosami konieczność odbudowy świata z ruin

[1]) Dzieje Apost. XVII. 28

[2]) Drogi Doskonałości. R. XXVIII. 2.

materialnych, lecz przede wszystkim duchowych. Ludzkość niewątpliwie na różnych drogach będzie szukać środków do spełnienia wielkiego obowiązku chwili obecnej. Lecz największa odpowiedzialność spoczywa na barkach tych, którzy są w posiadaniu depozytu Prawdy, złożonego we wierze, lub którzy przynajmniej są na jej tropie. Choćby musieli przedzierać się niejednokrotnie poprzez chaos i ciemności i wzywać Boga rozpaczliwym okrzykiem tonącego: „Panie, jeśli jesteś, spraw abym uwierzył", to znajdą tego Boga niewątpliwie, gdy spełnią warunek, który kładzie Psalmista: „Bliski jest Pan tym, którzy Go wzywają, tym wszystkim, którzy wzywają Go w prawdzie". Dla nich wszystkich modlitwa stanie się niezawodnym punktem oparcia do sprostania odpowiedzialnego zadania, które nakłada dzień dzisiejszy. A światło, płynące z obecności Boga żywego, doprowadzi ich kiedyś aż do tego posiadania Boga, które jest ostatecznym celem człowieka.

X. Henryk Weryński

Poświęcenie rodzin Niepokalanemu Sercu Marii

Jestem głęboko przekonany, że odpowiemy intencji Ojca św., który wezwał nas do poświęcenia się Niepokalanemu Sercu N. M. P., jeśli — po całej Polsce — wprowadzać będziemy zwyczaj poświęcenia rodzin temu Przeczystemu Sercu.

Podobnie, jak — z ogromnym pożytkiem wprowadzony został zbawienny zwyczaj poświęcenia rodzin Sercu P. Jezusa, tak pragnęlibyśmy gorąco, by przyjął się po domach gorliwych katolików zwyczaj oddawania całej rodziny szczególniejszej opiece Niepokalanego Serca Matki Bożej.

Będzie to po myśli Kościoła św., bo przecież — po poświęceniu całego rodzaju ludzkiego Sercu Zbawiciela świata — wyrosła (z potrzeby serc katolickich) praktyka poświęcenia rodzin Boskiemu Sercu Jezusowemu. Przez analogię — nie możemy sobie wprost wyobrazić, by akt poświęcenia całej ludzkości Niepokalanemu Sercu N. Marii P., dokonany przez Ojca św. w dniu 31 października 1942, nie odbił się żywym echem w rodzinach katolickich i by to echo nie pobudziło wielu rodzin do specjalnego poświęcenia się Sercu Matki Zbawiciela świata.

Odpowiadając intencjom Kościoła św. i pragnieniom wielu serc podajemy tu p r o j e k t a k t u p o ś w i ę c e n i a r o d z i n N i e p o k a l a n e m u S e r c u M a t k i B o ż e j, dołączając krótkie odnowienie wspomnianego aktu, które może posłużyć do odmawiania codziennego.

* * *

Akt poświęcenia rodziny Niepokalanemu Sercu Marii.

Matko Najświętsza, upadając na kolana przed Twym Majestatem Bogarodzicy, pragniemy dziś ofiarować się i poświęcić w szczególniejszy sposób Twemu Niepokalanemu Sercu. Racz nie gardzić ofiarą naszych biednych, ułomnych, kruchych serc, które Ci dzisiaj przynosimy w darze, Pani Niebios i Matko nasza !

Serce Twoje, Matko Zbawiciela świata, było ogniskiem skupiającym i ożywiającym Najświętszą Rodzinę. Ono było żywą treścią domku nazaretańskiego. W promieniach tego Serca Dziecię Jezus wzrastało „w łasce u Boga i ludzi"... Prosimy Cię, Matko Boża, byś dzisiaj — na zawsze — przygarnęła naszą gromadkę do Twego Przeczystego Serca macierzyńskiego. Niech od dnia dzisiejszego Serce Twe ożywia nas wszystkich! Niech w ciepłych promieniach Twego Serca kwitną w rodzinie naszej cnoty chrześcijańskie, a przede wszystkim miłość, przejawiająca się na każdym kroku, we wszystkich dziedzinach wspólnego pożycia! Niech codzienny język miłości, to jest dobroć i towarzysząca jej stale uczynność i wyrozumiałość cechuje nasze życie rodzinne — zawsze, po wszystkie dni naszego życia!

Ponad wszystko jednak, prosimy Cię, Matko najmilsza — przez Twoje najlepsze Serce macierzyńskie — naucz nas wszystkich, mieszkających pod tym wspólnym dachem, byśmy — wszędzie i zawsze — spełniali Twoje polecenie: „co wam Syn mój rzecze, czyńcie!"...

O Serce Przeczyste Marii, prowadź nas przez całe nasze życie do Bożego Serca Twego Syna! Niech w tym Sercu Bożym szukamy zawsze zbawienia, zawsze — przez Twoje Serce Niepokalane i przez Twoją przyczynę, Pośredniczko łask wszelkich i Matko nasza!

Króluj — wraz z Synem Swym — o Mario w naszym gnieździe rodzinnym! Króluj i władaj w naszym domu — chwilach radosnych i w godzinach męki i bólu! „Ucz nas kochać, choć w cierpieniu, ucz nas cierpieć, lecz w milczeniu!"...

Nie opuszczaj nas nigdy, Matko i Pani nasza, skoro dziś poświęcamy się Twemu Najczystszemu Sercu — na wieki!

O Przeczyste Serce Marii, w Tobie żyć i umierać pragniemy...

A m e n.

* * *

Odnowienie aktu poświęcenia rodziny Niepokalanemu Sercu Marii.

Najmilsza Matko nasza, klękając u stóp Twych najpokorniej, odnawiamy nasz uroczysty akt poświęcenia się Twemu Przeczystemu Sercu.

Ucz nas w Sercu Twym szukać prawdziwej pociechy w smutkach, ucz nas dróg, prowadzących do Serca Bożego!

Króluj w rodzinie naszej, Niepokalane Serce Marii, na zawsze!

Amen.

* * *

Podając powyższe projekty aktu poświęcenia się rodziny Niepokalanemu Sercu N. M. P. i codziennego odnowienia tego aktu po domach naszych, **pragniemy pobudzić dusze gorliwe do podjęcia inicjatywy w tej sprawie.**

Gdy liczny zastęp gorących serc zrozumie doniosłość i aktu poświęcenia i codziennego odnawiania go, wówczas — niewątpliwie — Władza Duchowna przychyli się do aprobaty tego, co zrodziło się z potrzeby serc i odpowiada tradycji kościelnej.

Ufamy też, że tak — jak poświęcenie rodzin Sercu P. Jezusa przyniosło błogosławione skutki, tak i poświęcenie rodzin Sercu Matki Bożej stanie się zadatkiem nowych błogosławieństw i łask Bożych, tak bardzo potrzebnych dla ludzkości, udręczonej potwornościami ostatniej wojny...

Wszystkich czcicieli Marii prosimy o modlitwę na intencję rozkrzewienia praktyki poświęcenia rodzin Niepokalanemu Sercu N. M. P.

Żołnierz-zakonnik Ś. p. O. Franciszek od Naw. N.M.P.

Kamelita Bosy. (c. d.)

Powołanie zakonne. — Zrozumienie i umiłowanie ideałów Karmelu. — Mąż modlitwy. — Cierpienia ciała i ducha.

O. Franciszek, będąc duszą z natury swojej dążącą ku głębinom życia wewnętrznego, poznawszy nadto wszystkie iluzje życia w twardym życiu żołnierskim, naturalnym biegiem rzeczy musiał wybrać formę życia, która by sprzyjała rozwojowi tych jego duchowych aspiracyj i tutaj Karmel stał się dla niego ideałem. Powołanie jego tak było głębokie i naturalne, nastawienie jego wewnętrzne tak harmonizowało z duchem Karmelu, że trudno, wprost niemożliwie jest wyobrazić sobie Ojca Franciszka inaczej, jak Karmelitą Bosym. Oddał się Karmelowi niepodzielnie, a Zakon jak matka najlepsza oddał mu skarby swego życia i ducha, by z nich mógł czerpać, wzmacniać się i rozwijać. Karmel więc stanowi te ramy, w które weszła indywidualność Ojca Franciszka, Karmel stanowi tę prześliczną i tak bardzo odpowiadającą oprawę do jego życia i działalności.

Patriarchą i ojcem Zakonu karmelitańskiego jest wielki Prorok Eliasz. Należy do tych — pisze o nim Karol Garsido — co zdają się być ukształtowani na zupełnie inną formę niż reszta ludzkości. Obchodzimy ich wokoło z pełnym czci zapatrzeniem,

nie tracąc ani na chwilę podziwu dla majestatu ich postaci. Są olbrzymami pośród olbrzymów[1]). Ta to potężna postać Eliasza natchnęła formy ogólne i nakreśliła ramy życia karmelitańskiego. Na ramy te składają się: samotność, milczenie, surowość i czuwania. Przez te cnoty Prorok Karmelu staje się bardzo bliski synom i córkom Karmelu. przez nie bowiem upodabniają się do jego surowego życia, czuwania na świętych zboczach góry, wspinania się w wyżyny, na których by mogli posłyszeć głos Boży i złożyć przeczystą żertwę całopalenia. W ramach tak nakreślonych mieszczą się wszystkie przepisy ustawodawstwa karmelitańskiego i wytwarzają całokształt życia, charakteryzując każdego prawdziwego syna wielkiego Eliasza. W takie ramy więc weszło życie Ojca Franciszka.

Niewielu jest wśród nas takich, którzy by tak gorąco kochali Karmel jak on. Jakże często musiał on patrzeć duchem na wielką postać św. Eliasza, bo tak często mówił o nim jako Magister kleryków, z takim naciskiem podkreślał jego nieugiętość wśród walki ze złem, jego potęgę ducha, wytworzoną w samotności i czuwaniu. Wskazywał go nam młodym, pouczając, że to jest ów kamienny złom, z którego wyrąbani jesteśmy, że to jest ów ideał żarliwego Karmelity, po który trzeba sięgać i piąć się ze wszystkich sił.

Tradycja Karmelu była mu niezmiernie droga. Jak dziecku drogie jest miejsce, gdzie przyszło na świat, kocha je i tęskni do niego, tak wierny ten syn Karmelu gorąco pragnął poznać i oglądać kolebkę reformowanego Karmelu — Hiszpanię. I dane mu było to szczęście. Zwiedził Avilę, Valladolid, Salamankę, Burgos, widział klasztory wzniesione staraniem seraficznej Matki Teresy, oglądał pisma jej ręką skreślone, podziwiał pamiątki po niej pozostałe, uczcił jej grób w Alma de Tormes, wenerował ciało św. Jana od Krzyża w Segowii. Słuchał chciwie wszystkich szczegółów dotyczących domowego życia karmelitańskiego, wypytywał się o tradycje i zwyczaje z owych pierwszych czasów rozkwitu Karmelu, a wszystko to chował głęboko w sercu swoim. A potem wróciwszy do Polski, przywiózł ze sobą te skarby, by je rozdzielać wśród swych uczniów i braci. I przyszło z nim rzeczywiście jakieś tchnienie ożywcze owych dawnych czasów życia tercjarskiego, które owiało wiele serc młodych i porwało ich w wir gorliwości i zapału.

Zakon uważał zawsze za matkę najlepszą, w której objęciach można się nie tylko pewnie zbawić, ale i uświęcić. Nie mógł pojąć, jak ktoś może wzgardzić św. suknią zakonną. Gdy kiedyś po odejściu jednego z braci z klasztoru wszedłem z O. Franciszkiem do celi tego brata, na widok porzuconego habitu dziwnie boleśnie rzekł: „Jak on mógł to zrobić, ja bym prędzej trupem padł".

Lubiał słuchać, gdyśmy śpiewali hymn „Matko ma, Zakonie mój". Jakieś rozrzewnienie malowało się wówczas na jego twarzy i radość błoga tryskała ze spojrzenia. Widać było, jakim umiłowaniem dla niego był Zakon.

Samotność i milczenie było żywiołem O. Franciszka. W nowicjacie z całą gorliwością oddawał się praktyce tych cnót, w czasie studiów rzadko go koledzy widzieli poza celą. Późniejsze życie tak się złożyło, że mało miał chwil dla siebie. Jako przełożony musiał być dla wszystkich i wiele spraw czekało jego decyzji, ale samotności zawsze pragnął. Umęczony nieraz szedł do chóru, by tam w ciszy i samotności chwilkę wypocząć. Mawiał, że dopiero wieczorem, gdy sam jest w celi, czuje, że jest sobą, że jest Karmelitą. Wiedział doskonale, ile pożytku dla duszy przynosi samotność, zwłaszcza dla kapłanów, porwanych wirem pracy i zajęć. To też nieraz snuł marzenia, by wznowić erem czerneński, tak jak było dawniej, by tak w ciszy pustelni, w oddaleniu od wszystkiego, Ojcowie nasi mogli odpocząć duchowo, odnowić się wewnętrznie, przygotować do dalszej owocnej pracy apostolskiej. Gdyby dłużej żył, kto wie czy nie urzeczywistniłby swego pragnienia. W przemowach i naukach często powtarzał te głębokie słowa z oficjum Matki Boskiej Szkaplerznej: „Habitabit in solitudine judicium et justitia in Car-

[1]) Prorok Karmelu, tom 1, str. 14.

melo sedebit". Gdy widział pracę powierzchowną lub zbytne oddawanie się pracy zewnętrznej któregoś z nas, nieomieszkał delikatnie zwrócić uwagi, zachęcić do pogłębiania się. „Jeśli się chce coś mądrego powiedzieć, czy napisać, trzeba to przemyśleć i przeżyć w samotności". Chętnie pozwalał, nawet pragnął, by Bracia i Ojcowie odprawiali roczne rekolekcje w Czernej, bo tam w tej ciszy i samotności, gdzie odżywają wspomnienia nowicjatu, łatwiej się wejdzie w siebie i zrozumie, czego Bóg od nas żąda.

Nie tylko sam kochał samotność i milczenie, nie tylko zachęcał do tych cnót swych braci zakonnych, ale i dla ludzi świeckich, zwłaszcza dla naszego III Zakonu chciał stworzyć takie sanktuarium samotności i milczenia, do którego by przynajmniej na kilka dni mogli się schronić i odpocząć duchowo. Z jego inspiracji powstał dom rekolekcyjny w Czernej i leżał mu on bardzo na sercu, bo jeszcze na kilka dni przed śmiercią starał się, by w nim mogła być kaplica i Najśw. Sakrament. Pragnął gorąco odnowienia dawnej pustelni św. Agnieszki tuż obok klasztoru w Czernej, której ruiny jeszcze się dobrze zachowały, by tam zwyczajem dawnych ojców mogli chronić się na samotność synowie Karmelu, spadkobiercy ducha dawnych eremitów. Cieszył się szczerze z projektowanej fundacji hen daleko wśród gór w Zawoi i popierał to dzieło aż do ostatniej chwili. Pamiętam jak w czasie pobytu na tymże miejscu w lipcu 1939 roku z zachwytem patrzał na wspaniały krajobraz górski, na potężne łańcuchy Beskidów Zachodnich z ich królową Babią Górą. „To naprawdę — mówił — mogła by być mała pustelnia, gdyby Bóg pozwolił to przeprowadzić".

Obok zamiłowania samotności i milczenia cechowała wewnętrzne życie karmelitańskie O. Franciszka surowość i czuwanie. Niezwykłą delikatność i wrażliwość umiał pokryć szatą surowości, nawet pewnej szorstkości, ale tylko względem siebie. Rozumiał służbę w Karmelu jako służbę żołnierską, jako nielękliwe, wytrwałe czuwanie na froncie zakonnym. Nie spotykało się u niego nic miękkiego, rozpieszczonego. Z jego celi, ubioru i całej postawy biła surowość prawdziwego mnicha. To też wywierał wielkie wrażenie. W roku 1936 Ojcowie nasi odbierali sanktuarium ostrobramskie w Wilnie. O. Franciszek wszedł do zakrystii, by się przygotować do Mszy św. Jak zwykle przy uroczystościach dużo było gwaru i hałasu nawet w zakrystii. O Franciszek ubrał się do Mszy św., nasunął kaptur na głowę, przymknął oczy i czekał w skupieniu, aż ołtarz będzie wolny. To zachowanie się jego i postawa tak podziałały na zakrystianów i służbę kościelną, że zamilkli, mówili tylko szeptem i cicho się krzątali. W czasie jednego z pobytów O. Franciszka w Warszawie spotkała go pewna pani. Swą surowością i skupieniem takie na niej zrobił wrażenie, że przystąpiła do niego i poprosiła o adres. Przyjechała później do Krakowa, by pod jego kierunkiem odprawić rekolekcje. Od tej chwili stała się duszą wewnętrzną i szczerą przyjaciółką Karmelu.

Dla siebie O. Franciszek bardzo mało wymagał, nawet nie żądał tego, co było konieczne dla jego zdrowia. Do tego stopnia posuwał surowość dla siebie, że jakiekolwiek wyjątki choćby słuszne i konieczne były mu prawdziwą przykrością. W chorobach, które go prawie ustawicznie nachodziły, leczył się sam, nawet lekarza rzadko kiedy zawezwał. Zamykał wtedy celę i nie chciał przyjmować żadnych usług. Gdy czasem starsi ojcowie prosili go, by więcej dbał o siebie, wypoczął, leczył się, odpowiadał krótko: „Po co się bawić, czyż tu po to przyszliśmy, by sobie dogadzać, zdrowie konserwować?" I to było charakterystyczne u niego, że tę surowość i ostrość stosował tylko do siebie, podczas gdy o innych starał się z całą pieczołowitością. I to go też zbliża do ideału prawdziwej doskonałości, która umie zapomnieć o sobie, by się poświęcić dla innych.

—o—

Przechodzimy teraz do najważniejszego zagadnienia w analizie duchowości O. Franciszka, do tego, co jest treścią życia karmelitańskiego i co było istotną treścią tego wiernego syna Karmelu. Treść życia karmeli-

tańskiego da się wyrazić w dwóch słowach: modlitwa, cierpienie. Im w pełniejszym rozwoju będą te dwa czynniki, tym Karmel będzie żywotniejszy, bez nich zaś straciłby swe znaczenie i nie miałby racji swego bytu. W ascezie bowiem karmelitańskiej (jakiej zarysy podali nam św. M. N. Teresa i św. N. O. Jan od Krzyża) chodzi głównie o to, by dusza uczyniła możliwie wszystko, co jest potrzebne do przygotowania się do całkowitej ofiary dla Boga. Ponieważ zaś ofiara, by godną była Boga, musi być czysta, święta i niepokalana, więc na jej przygotowanie musi się złożyć podwójne działanie: oczyszczenie i uświęcenie. Pierwsze dokonuje się przez cierpienie, drugie przez modlitwę. Jeżeli chcemy użyć obrazowości, najpiękniejszy symbol życia karmelitańskiego znachodzimy w postaci Matki Bolesnej pod krzyżem. Maria orans et patiens — Maria modląca się i cierpiąca — to cały Karmel. Prześlicznie mówi o tym jeden z pisarzy ascetycznych: „Maria jest najczystszą ofiarą najczystszej miłości. W Niej urzeczywistnia się w pełni niezrównanej świętości i ofiara karmelitańska, **victima caritatis**. Zarzewiem tej świętości i ofiary jest Boski ogień miłości ofiarnej, który zrodzony z Boga goreje w Boskim Sercu Jezusa, w Matczynym Sercu Marii, staje się uczestnictwem dusz maryjnych i tworzy dusze karmelitańskie, będące nieustanną ukrytą żertwą ognia Boskiej miłości" [1]).

Modlitwa zatem i cierpienie, w myśl ascezy karmelitańskiej — to treść życia wewnętrznego O. Franciszka.

Modlitwę kochał on jak życie i to we wszystkich jej formach. Już w nowicjacie cenił bardzo rozmyślanie, traktował je nie szablonowo, nie jako konieczność regulaminu klasztornego, ale oddawał się rozmyślaniu ze zrozumieniem i pilnością, jako czemuś, co jest jego umiłowaniem i częścią, nieodłączną od całości życia wewnętrznego. W latach studiów filozoficznych i teologicznych dbał bardzo o to, jak zgodnie świadczą jego współkoledzy, by nie uronić ani chwilki czasu poświęconego rozmyślaniu. To też w miarę lat życia zakonnego pogłębiało się jego życie duchowe. Mimo rozlicznych zajęć, dokuczliwych bólów i chorób rozmyślania nie opuszczał. Pozostała nam w pamięci jego postać, tak jak ją widywaliśmy w chórze zakonnym. Prawie zawsze na klęczkach, z głową pochyloną, często skulony wskutek gwałtownych bólów żółciowych, trwał w głębokim skupieniu do ostatniej minuty czasu wyznaczonego na modlitwę. Tym przykładem swoim i słowem ojcowskim zachęcał, by w myśl reguły karmelitańskiej, rozmyślać Zakon Pański w dzień i w nocy, w chórze nie tylko klęczeć, ale istotnie się modlić. Kazanie każde — mawiał — powinno być omodlone, bo dopiero wtedy może przynieść prawdziwy owoc i wywrzeć skutek na słuchaczach.

Dzieła św. Matki Teresy, będące jedną wielką lekcją modlitwy, nie tylko sam wertował, ale i innych gorąco zachęcał do czytania ich i rozmyślania nad nimi. Jakże troskliwie zachęcał, by starannie opracować i rychło podjąć nowe wydanie tych dzieł, by wszyscy mogli je mieć pod ręka i czerpać w nich obficie z ich skarbów i zasobów.

Równomiernie z modlitwą myślną kochał O. Franciszek oficjalną modlitwę Kościoła — Oficjum Pańskie. Odmawianie brewiarza wspólne w chórze było dla niego prawdziwą uroczystością. Chwalbie tej i pieniom świętym, spełnianym przez Kościół w imieniu wszystkich stworzeń i całego świata ku uczczeniu Boskiej wielkości i majestatu Stwórcy — oddawał się O. Franciszek z całym namaszczeniem i wylaniem serca. Nie lubiał niedbałości czy ospałości w Oficjum świętym. Recytował głosem pełnym, z zapałem i włożeniem całej duszy w pienia Dawidowe, intonował wysoko psalmy i hymny, zapałem ożywiał tę wzniosłą modlitwę. Wierność jego i pilność w uczęszczaniu na brewiarz była na prawdę zdumiewająca. Gdy rano wpół do piątej, tak zimą jak i latem, szliśmy do chóru, on już klęczał na swoim miejscu. Wieczornej Jutrzni nie opuszczał, chyba już w wyjątkowych razach.

[1]) Ks. Aleksander Żychliński, Przedmowa do książki „Prorok Karmelu" str. 8

Toteż po tym poznawano, czy jest w klasztorze czy gdzieś wyjechał, bo jak był w domu, to był zawsze i w chórze na wspólnej modlitwie. Często bywało, że po powrocie z podróży, często długiej i uciążliwej, zdrożony i zmęczony, wprost ze stacji przychodził do chóru i pozostawał na wspólnej modlitwie. Czasem widać było, jak był obolały wskutek ataków żółciowych, wargi miał spalone gorączką, że z trudnością słowa mógł wymawiać, a jednak stał społem z braćmi, śpiewając chwałę Bożą.

Rozmyślanie i Oficjum Pańskie uważał jako przygotowanie do spełniania Najśw. Ofiary. Przygotowanie jego do Mszy św. i skupienie z jakim odprawiał Najśw. Ofiarę, była naprawdę budująca. Zwykłe przygotowanie i dziękczynienie przed Mszą i po Mszy św. odprawiał w samotności w chórze. Nie lubiał bardzo, gdy mu w tym przeszkadzano, bo jego wiara głęboka dyktowała mu powinności, jakie miał względem królewskiego kapłaństwa.

Jako młodych kapłanów, zachęcał nas gorąco, byśmy nigdy nie przystępowali do Ołtarza bez przygotowania, byśmy się nigdy przy odprawianiu Najśw. Ofiary nie śpieszyli, a zwłaszcza od rozpoczęcia Kanonu. Starał się, by wszystkie przybory do Mszy św. były czyste i godne. Nie rozumiał źle pojętej oszczędności w tych rzeczach, które wprost odnoszą się do Boga. Pozłacał kielichy, sprawiał bieliznę kościelną, odnawiał paramenta. Jakże się cieszył, gdy dostawał piękne ornaty na imieniny (a dostawał ich dużo), sukienki na puszki, bursy i stuły. Z promiennym uśmiechem zaraz rozdawał te skarby pomiędzy klasztory, by wszystkie miały piękne to, co potrzebne do służby Bożej.

W całym jego życiu ujawniała się ta myśl, że życie kapłana to trwająca Msza św., ustawicznie spełniana ofiara, niegasnące całopalenie na uwielbienie Boga, na zbawienie ludzi.

W parze z modlitwą szło cierpienie w życiu tego wiernego sługi Bożego, równolegle do poziomu modlitwy stawiał krzyż, który mu towarzyszył aż do ostatniego tchnienia. I tak zresztą być musiało: niepodobna bowiem wyobrazić sobie życia dobrego zakonnika bez krzyża. Im lepszy zakonnik, tym krzyż musi być cięższy, boleśniejszy. Istotnie bowiem życie zakonne to przecież przedłużenie niejako ofiary krzyżowej, w myśl powiedzenia św. Pawła: „Winniśmy uzupełniać w członkach naszych, czego nie dostaje cierpieniom Chrystusa". O. Franciszek był w całym słowa tego znaczeniu dobrym zakonnikiem, krzyż więc musiał towarzyszyć jego życiu.

Analizując cierpienia, jakie spotkać mogą człowieka, spostrzegamy, że mimo rozlicznych form i odcieni, których niepodobna wyliczyć, dają się je jednak ująć w trzy ogólne rodzaje: cierpienia ciała, cierpienia serca, cierpienia duszy. I przez to potrójne, jeśli nie całkowite, to jednak niewiele od całości mniejsze męczeństwo ciała, serca i duszy przeszedł O. Franciszek w swym życiu ziemskim.

Męczeństwo ciała towarzyszyło mu od wczesnej młodości do chwili zgonu. Wspomniałem już, jakie ciężkie chwile przechodził na wojnie. Uciążliwe marsze w pełnym umundurowaniu wśród skwarów i upałów letnich, patrole i ciągłe pogotowie na froncie wśród mrozów i śniegów, długie czuwania w wilgotnych, ziemnych okopach — wszystko to przeżywał zbyt jeszcze młody na takie trudy żołnierz. Najcięższa jednak była niewola, a zwłaszcza pobyt w obozie infekcyjnym. Głód i zimno tam zniesione podkopały raz na zawsze zdrowie O. Franciszka. Od tej chwili nie przestały mu dokuczać bóle reumatyczne, bolesne łamania w kościach. Tworzyły się i od czasu do czasu, odnawiały owrzodzenia wewnętrznych narządów trawienia, które wkońcu przeszły w stan chroniczny. Dokuczliwe bóle żółciowe wciąż się ponawiały. Bardzo często przychodziły bóle głowy. Kilka razy przechodził niezmiernie bolesną chorobę oczu, w czasie której przez kilkanaście dni w ustawicznym bólu musiał przebywać w zupełnie ciemnym pokoju.

W takim stanie zdrowia trzeba mu było spokoju, odpoczynku, trzeba było systematycznego leczenia, stałej diety, odpowiedniego pokarmu, dogodnego trybu życia. Tym-

czasem zaś O. Franciszek prawie niczego z tego nie miał, a i z tego, co mógł mieć, niewiele przyjmował. Codziennym wysiłkiem, nadzwyczajną siłą woli, no i przede wszystkim cierpliwością chrześcijańską i należytym zrozumieniem cierpienia utrzymywał się w zachowaniu trybu surowego i karmelitańskiego życia z taką wiernością, iż zdawać się mogło, że nic mu nie dolega. Ileż jednak w tym było heroizmu i zaparcia! Nawet nie bardzo wnikliwy obserwator zauważał ten cichy heroizm cierpienia O. Franciszka. Gdy raz odwiedziliśmy Prof. O., O. Franciszek przez cały czas odwiedzin był ożywiony, serdeczny, żywo się wszystkim interesujący, a jednak przy pożegnaniu szepnął mi profesor cicho: „Czemu Ojcowie nie leczycie O. Prowincjała, przecież widać, że jest bardzo cierpiący i tylko siłą woli się trzyma". I chcieliśmy go leczyć, ale cóż było robić, gdy wszystko zbywał śmiechem, mówiąc, że do śmierci nic mu nie będzie, a potem święta ziemia wszystkie choroby wyciągnie.

Ileż to razy widzieliśmy, jak przychodził do chóru pożółkły z bólu, z oczyma zaczerwienionymi, z wargami spieczonymi gorączką. Ileż to razy, mimo panowania nad sobą, nagle syknął z bólu, lub klęcząc na rozmyślaniu, skulił się boleśnie. Czasem się zdradził, jak mu dolegały bóle reumatyczne, a jednak nigdy nie włożył bucików, chodził zawsze w sandałach i to boso od wczesnej wiosny do późnej jesieni, choć częste katary, zaziębienia wymagały ciepłego ubrania i obuwia.

Do późna w nocy czuwał, załatwiając korespondencję, a jednak w porze zimowej często miał zimno w celi. Na nasze uwagi, czemu nie pozwoli napalić, odpowiadał z humorem, że tak jest zdrowiej i człowiek się hartuje. Od stołu często wstawał głodny. Skutkiem bowiem chorób żółciowych i owrzodzeń wewnętrznych, nie mógł jeść tego, co inni, zaś o osobne dania nie upominał się, zostawiając tę sprawę domyślności kucharza. Na drogę chociaż daleką, jak do Wilna, Poznania, Lwowa nie brał zwykle nic ze sobą, jeździł trzecią klasą, to też przybywał na miejsce czasem bardzo zmęczony, głodny i zziębnięty, pokrywał jednak wszystko uśmiechem i zadowoleniem.

Objąwszy tak ogólnie całokształt życia O. Franciszka, bo do tych kilku szczegółów dało by się dołożyć wiele innych, zważywszy nadto i ten fakt, że ten tryb bytowania w cierpieniu nie trwał rok lub dwa, ale przez całe dwadzieścia kilka lat jego życia zakonnego — musimy przyznać, że był w tym prawdziwy heroizm: że właśnie przez te cierpienia fizyczne upodobnił się O. Franciszek najbardziej do Boskiego Zbawcy Ukrzyżowanego.

Obok męczeństwa ciała przeszedł O. Franciszek męczeństwo serca. Polem tego męczeństwa była jego subtelna delikatność i wrażliwość, a narzędziem ci, z którymi żył, obowiązki, które mu powierzono, a zwłaszcza godność przełożeństwa.

O. Franciszek miał duszę nadzwyczaj wrażliwą, odczuwał głęboko przykrości i bóle, ale że był zamknięty w sobie nie rozczulał się nawet w największym cierpieniu, nie dawał poznać po sobie zranienia wewnętrznego — wielu nie znało prawie do końca tej jego subtelnej wrażliwości. Równolegle do tej wrażliwości szła jego niezrównana dobroć. Obdarzony głębokim zmysłem psychologicznym znał dobrze krańcowości natury ludzkiej, wiedział, jak człowiek potrzebuje serca, zachęty, — jak — z drugiej strony — brak wyrozumiałości łatwo sprowadza go na drogę snobizmu, inercji duchowej, a czasem i do zupełnego załamania się. Starał się więc każdego wyrozumieć, unikał wszelkich odruchowych sądów, wczuwał się w bóle i troski tych, co się do niego udawali. Nie potrafił nikogo zbyć powierzchownie, ni zapomnieć zwierzonych sobie trosk i cierpień. I wyobraźmy sobie taki charakter wrażliwy i subtelny, postawiony pośród ludzi, pośród ich trosk i uroszczeń, czasem nawet niesłusznych wymogów. Każdy chciał brać od niego zwykle kosztem jego bólu, a rzadko znalazł się ktoś, kto by mógł przyłożyć balsam na jego osobiste przeżycia i boleści. Ileż tu okazał O. Franciszek zaparcia i poświęcenia się. Słyszałem sądy i opinie o nim różnych ludzi

i robotników prostych, z którymi budował kościół w Krakowie i kapłanów światłych, doświadczonych życiem: artystów i ludzi nauki, zakonnic prostych i wykształconych, bogatych fabrykantów, pielęgniarek szpitalnych i ludzi interesu: wszyscy oni, choć z tak różnych warstw i stanowisk, zgadzali się w jednym, **że O. Franciszek był to człowiek niezrównanie dobry.** Wiadomo zaś, że dobroć częściowo wprawdzie wypływa z natury danej osoby, ale, jeżeli chce być ciągła i trwała, musi być okupiona zaparciem siebie i zapomnieniem o sobie. Człowiek, jeżeli chce być dobrym, dla siebie nie może nic żądać, nic wymagać, a drugim oddawać wszystko. Tak postępował O. Franciszek. Toteż życie jego kapłańskie było jedną wielką ofiarą. Ta ofiara doszła do szczytu z chwilą, gdy go powołano do godności przełożonego prowincji. Lata jego przełożeństwa uważam — a sądzę, że nie sam — za największe dopełnienie męczeństwa jego serca. By to dobrze zrozumieć, oprócz powyższych rysów jego charakterystyki, predestynujące go niejako do wielkich cierpień, należy jeszcze rozważyć inne okoliczności. O. Franciszek należał do ludzi cichych i pokornego serca. Od wczesnej młodości wnikał głębiej w istotę rzeczy, ta wnikliwość wzrastała w nim w miarę rozwoju życia wewnętrznego. Poznał więc życie i to zarówno z jego strony materialnej jak i duchowej. Jego pojęcia w tym względzie nie miały żadnych iluzyj czy kompromisów. Jako zakonnik i to nieprzeciętny zakonnik, pojmował życie tylko z punktu ewangelicznego, z punktu nauki Chrystusowej o cichości i pokorze; z punktu nauki Boskiego Zbawcy, by służyć innym a nie rozkazywać, by człowieka cielesnego ze wszystkimi jego uroszczeniami do wielkości i niezdrowych aspiracyj przekształcić w człowieka duchowego, chodzącego drogami zaparcia i pokory. Toteż nie było w nim ani cienia wyniosłości i tej zarozumiałej pewności siebie, która zawsze wskazuje na ukrytą w sercu pychę i szuka pokryjomu wyniesienia się nad innych. Wszelkie przełożeństwa i godności były dla O. Franciszka prawdziwym krzyżem i ciężarem. Czuliśmy to wszyscy. Dla tego człowieka o słodyczy i cichości Chrystusowej rozkazywanie było zawsze przykrością i to tym większą im więcej musiało być bezwzględne. Sam zresztą mawiał, że nie jest do rozkazywania. „Gdybym chciał rządzić i rozkazywać, mógłbym zostać oficerem, a nie wstępować do klasztoru". Stąd też przełożeństwo było dla niego prawdziwym kielichem goryczy, z którego musiał jednak pić aż do śmierci.

Bo wyobraźmy sobie człowieka tego pokroju, wyniesionego do godności przełożonego 15 klasztorów i z górą 260 ludzi. Wprawdzie łagodzącym być może fakt, że ci podwładni O. Franciszka to przecież osoby zakonne, rozumiejące posłuszeństwo i żyjące posłuszeństwem. Trzeba jednak dobrze znać psychikę osób zakonnych, by je dobrze osądzić. Trzeba zwrócić uwagę na to, że w każdym, choćby gorliwym zakonie obok osób prawdziwie zacnych i cnotliwych znajdzie się mniej lub więcej mącicieli, duchów niespokojnych, które same nie wiedzą czego chcą. Czasem pod pokrywką gorliwości i cnoty kryje się osobista ambicja, niezdrowe uroszczenia. Jednym słowem do dobrego ziarna życia zakonnego domieszane jest zawsze trochę kąkolu.

O. Franciszek w sprawowaniu władzy przeorskiej czy prowincjalskiej kierował się zawsze dobrocią. Chciał pociągnąć wszystkich słodyczą i miłością ojca. Miał zasadę trwałą, której się trzymał aż do ostatniej chwili, zawartą w słowach św. N. O. Jana od Krzyża: „Gdzie nie ma miłości, połóż miłość, a znajdziesz miłość". Na większość jego synów i córek duchownych, to postępowanie wywarło zbawienny wpływ, rozumieli go i szli w myśl jego wskazań. Ale były i wyjątki. Nie rozumiano niejednokrotnie jego dobroci, nie odczuwano delikatności jego postępowania, czasem nawet opacznie je tłumaczono. To wszystko O. Franciszek czuł aż nazbyt głęboko, przeżywał sam w sobie te boleści i ukłucia nie zdradzając się z nimi. Ale kto go znał bliżej widział, jak wielka to była ofiara z jego strony.

Powiedziano o nim, że był jak chleb, który każdy miał prawo krajać i pożywać. I tak czyniono. Przystęp do niego miał każdy od nowicjusza począwszy, a skończywszy na najstarszym Ojcu. Przychodzono do niego z prawdziwymi potrzebami, troskami i bólami, ale przychodzono i z niewłaściwymi uroszczeniami, z urojonym poczuciem krzywdy, z niesłusznym czy zmyślonym żalem. A on nikogo nie odtrącił, nie zbył powierzchownie, ale kosztem często aż nazbyt widocznej męki wewnętrznej starał się przekonać, złagodzić tarcia, natchnąć wyższą myślą o umiłowaniu krzyża i życia zakonnego. Widział dobrze odległość pomiędzy starym pokoleniem a młodym powojennym, spowodowaną zbyt szybkim postępem współczesnego życia; i zwykle kosztem własnym zacierał tę różnicę, dbając o to, by zdrowy konserwatyzm starszych kierował czynami młodych, ale nie niszczył ideałów, nie stawał na przeszkodzie rozumnej energii i przedsiębiorczości młodych. Nie wydawał wyroku zbyt pochopnie, chociaż czasem wszystko świadczyło przeciw jakiejś jednostce, ale z wyrozumiałością ojcowską i dobrocią podchodził do takiego serca. Gdy nie znalazł zrozumienia, spotykał się z uprzedzeniem czy złą wolą, cierpiał bardzo, ale w milczeniu. Pamiętam raz, jak po przeczytaniu bardzo bolesnego listu, w którym spotkał się z zupełnie niesłusznymi zarzutami i w którym jego najlepsze chęci zostały zupełnie przekręcone — ścisnął boleśnie usta, popatrzył na krzyż, poczym odłożył list spokojnie mówiąc: „cóż robić, trzeba cierpieć, to już taki mój los". O tak, to już taki był jego los, bo Bóg sam, jako ukochanemu synowi nie poskąpił cierpień i bólu, często nawet od najbliższych, od których miał prawo spodziewać się ulgi. Był rzeczywiście jak chleb, który wszyscy krajali, choć potajemnie sączyła się krew jego pod nożem i rwały się włókna jego żywota.

dok. nast.

Bibliografia

Dzieła św. Teresy od Jezusa. — Wydanie zbiorowe, tomów 5. — Z hiszpańskiego przetłumaczył X. Biskup H. P. Kossowski. — Przejrzał i uzupełnił według hiszpańskiego krytycznego wydania dzieł św. Teresy O. Bernard od Matki Bożej, Karmelita Bosy. — Wyd. Głosu Karmelu.

Bóg powierzając Zakonowi karmelitańskiemu w depozycie modlitwę myślną, daje mu za Rodziców niezrównanych jej mistrzów: św. Teresę od Jezusa „Matkę dusz wewnętrznych" i św. Jana od Krzyża „Doktora mistycznego". Karmel poprzez wieki ma spełniać swe zadanie i wtajemniczać w przedziwną umiejętność modlitwy dusze spragnione obcowania z Bogiem, dzieląc się ze światem swą przebogatą spuścizną. I dzisiaj podaje nam do ręki dzieła swej wielkiej Teresy w nowym wydaniu, aby nam dopomóc, za pomocą modlitwy, znaleźć w swym wnętrzu Boga, który Sam wystarcza.

Powyższe tłumaczenie pism Świętej poprzedziły już w ojczyźnie naszej przekłady X. S. Nuceryna w 1664 r., a następnie, pod koniec ub. stulecia znane i powszechnie cenione tłumaczenie, lecz dawno już wyczerpane, X. Bpa H. Kossowskiego. W 1924 r. ukazała się „Droga Doskonałości" w powyższym przekładzie, lecz w nowym opracowaniu O. Jacka Woronieckiego, O. P. Karmelici bosi, wczuwając się w potrzeby naszego społeczeństwa, rozpoczynają w marcu pamiętnego roku wojny nowe, zbiorowe wydanie pism św. Teresy od Jezusa. Przed wojną zdołał wyjść spod prasy pierwszy zaledwie tom, dalsze — mimo ciężkich warunków ukazały się już w czasie wojny.

Powszechnie znaną jest powaga św. M. Teresy jako mistrzyni życia wewn., znany jej autorytet w dziedzinie mistyki w Kościele św. Generał zakonu OO. Karmelitów Bosych, O Klemens od św. Fausta i Jowity, w swym liście pasterskim przed woj-

ną 1913 r. „O czytaniu pism św. Teresy od Jezusa“, przytacza zdanie Ojca św. Piusa X, który mówi, że „czym św. Tomasz jest w dziedzinie teologii dogmatycznej, tym jest św. Teresa w teologii mistycznej“. Pisma Świętej pełne „pokarmu niebiańskiej nauki“, nacechowane są przedziwną prostotą, szczerością, bezpośredniością i cudownie w sobie łączą głębię nauki mistycznej z bogactwem doświadczenia. Są też równocześnie perłą, zwłaszcza w rodzimej Świętej, literaturze hiszpańskiej. One zdobyły Zakonowi Karmelu powołanie tej miary, co znany O. Tomasz od Jezusa, który studiując na uniwersytecie w Salamance, zachwycony wdziękiem stylu i nieporównanym pięknem języka pism seraficznej Matki, oddaje się z zapałem czytaniu jej dzieł, a potem zgłasza się do furty Karmelu, by stać się odtąd jednym z najlepszych synów Świętej.

W nowym wydaniu pism św. Teresy zachowanym zostało przez O. Bernarda pełne namaszczenia i prostoty tłumaczenie X. Bpa Kossowskiego, przejrzane tylko i uzupełnione według krytycznego hiszp. wydania O. Sylweriusza od św. Teresy, K. B.; wprowadzony zaś podział poszczególnych rozdziałów nadaje tekstowi większej przejrzystości.

Pierwsze z dzieł św. Teresy **„Księga zmiłowań pańskich“**, czyli **„Życie przez nią samą napisane“**, powstało tak, jak i wszystkie inne na rozkaz spowiedników Świętej. Św. Matka opisuje w nim lata swej młodości, powołanie i wstąpienie do Karmelu, swą ciężką chorobę i wyleczenie za przyczyną św. Józefa — potem przechodzi do stanów modlitwy, cierpień, łask i darów mistycznych, a w końcu opisuje początki pierwszego klasztoru reformowanego św. Józefa w Avili. „Życie“ jest prawdziwą szkołą modlitwy, tak w jej zasięgu przyrodzonym, jak i nadprzyrodzonym.

Druga z kolei **„Droga doskonałości“**, nazwana słusznie arcydziełem zdrowego rozsądku w dziedzinie mistyki, napisaną została przez Świętą na prośbę jej córek. Na początku wskazuje wzniosły cel życia zreformowanego Karmelu, następnie omawia gruntownie poszczególne cnoty, których sumienne praktykowanie stanowi przygotowanie do łaski kontemplacji; potem następują rozdziały o modlitwie, jej wartości i znaczeniu oraz objaśnienie stopni modlitwy na tle modlitwy Pańskiej. Zarys tej doskonałości jest wykonany prawdziwie po mistrzowsku; istotą doskonałości — to całkowite oddanie się Bogu: oddanie się Bogu — równa się najdoskonalszej zgodności woli naszej z wolą Boga. „A Bóg żąda od nas dwóch tylko rzeczy: miłości Boga i miłości bliźniego, gdy to spełnimy z całą doskonałością, wypełnimy wolę Bożą“ (Twierdza, m. V. r. III, 8). Przedziwnie prosta jest droga wiodąca do doskonałości, tylko dążmy po niej z odwagą, nigdy nie ustając — a dojdziemy do celu!

Ze wszystkich pism Świętej najbardziej malowniczą i barwną jest **„Księga Fundacji“**: zajmujące, pełne żywych obrazów opowiadanie o powstaniu pierwszych klasztorów reformowanych, przeplatane są ustępami pełnymi wspaniałej i praktycznej nauki. Podziwiamy tu św. Teresę w jej życiu zewnętrznym, pełnym pracy i trudów, a przy tym harmonizującą w sobie z cudowną prostotą całą pełnię życia w Bogu i z Bogiem.

„Twierdza wewnętrzna“ jest najpiękniejszym dziełem o modlitwie mistycznej, napisanym przez Świętą, gdy już osiągnęła zupełną dojrzałość życia wewn. W objawieniu nadprzyrodzonym poznała cudowny zarys tego dzieła: ukazał jej Bóg duszę całą z diamentu lub przejrzystego kryształu, podzieloną na wiele rozmaitych komnat, w których jaśniejącym ośrodku przebywał sam Król chwały. Dusza ćwicząc się w modlitwie i cnotach, coraz głębiej wchodzi w kryształową twierdzę, aż dochodzi do ostatniego, 7-go mieszkania, gdzie dokonują się zaślubiny mistyczne.

Pozostaje nam jeszcze ostatni tom Świętej p. t. **„Podniety miłości Bożej“**, w którym oprócz samych „Podniet“ (urywków tylko, dochowanych z komentarza św. Matki do niektórych zdań Pieśni nad Pieśniami), znajdujemy pomniejsze dzieła św. Teresy: „Wołanie duszy do swego Boga“, „Sprawozdanie duchowne“, „Przestrogi“, „Myśli i sentencje“, Poezje, Listy.

Nadmienić jeszcze należy o jednym z najlepszych opracowań św. M. Teresy, wyjaśniającym i ułatwiającym niezmiernie zrozumienie jej nauki, a mianowicie o pracy O. Gabriela od św. Marii-Magdaleny pod tytułem: „Św. Teresa od Jezusa, Mistrzyni życia wewnętrznego“, tłumaczonym z włoskiego, a wydanym w języku naszym w ostatnich latach wojny.

„Jedyną wartością na całym świecie jest życie Boga w duszach. Świata nie zbawi ani szczęk oręża, ani turkot maszyn, jedynie zejście Boga do swego stworzenia przez uświęcenie jednostek może zwiększyć poczet wybranych i zbawić całe narody“. Pan Jezus do jednej ze swych oblubienic powiedział, że „aby się odrodzić trzeba się przede wszystkim skupić“. Niech Wielka św. Teresa od Jezusa, od początku umiłowana w narodzie naszym, spojrzy z nieba i nawiedzi winnicę Ojczyzny naszej, winnicę każdej duszy i niech z pomocą modlitwy, której niezrównaną jest Mistrzynią, dokona się w naszych duszach pełne, wewnętrzne odrodzenie.



Treść zeszytu I (styczeń — luty 1946): Na wstępie. — O istocie apostolstwa. — Apostolstwo Marii, a apostolstwo nasze. — Religia, wiara, cud. — Poświęcenie się Niepokalanemu Sercu Marii. — Pieśń o Bogu ukrytym (I). — Ulecz te rany. — Teksty św. Ewangelii. — W obliczu Boga. — Nowe drogi w poznawaniu przyrody (I). — Żołnierz-zakonnik ś. p. O. Franciszek. — Bibliografia.

*

Treść zeszytu II (marzec 1946): W hołdzie. — Przedziwny Święty. — Tajemnica cierpienia. — Świętość „nowoczesna“. — Pieśń o Bogu ukrytym (II). — „Moja pieśń nad pieśniami“. — U progu modlitwy. — Poświęcenie rodzin Niep. Sercu Marii. — Żołnierz-zakonnik, O. Franciszek (II). — Bibliografia — Dzieła św. Teresy od Jezusa.

Za pozwoleniem władz duchownych i zakonnych.
Zgodnie z dekretami Urbana VIII.

„GŁOS KARMELU“ — miesięcznik zakonu OO. Karmelitów Bosych, poświęcony głębszym zagadnieniom życia wewnętrznego.
Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji:
Kraków, Rakowicka 18. Nr konta PKO. IV-842.
Prenumerata: pojedynczy zeszyt 25 zł., kwartalnie 70 zł.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca“ w Krakowie. M—11258


ZELO
SUM
PRO
DEO